

UMCS
LUBLIN

Edward Osóbka-Morawski
O Bierucie, Stalinie
i doradcach Wałęsy

str. 2

Lech Wałęsa
o demokracji, prasie
związkowej i strajkach

str. 2

Wynalazca bomby neutronowej
o sobie
i o swoim dziele

str. 12

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kammena

LUBLIN 8 XI 1981 NR 23 (743)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 7 ZŁ

W 63 ROCZNICĘ LISTOPADA 1918 — Z dokumentów Ojca

LEGIONY TO...

Stanisław Jan Rostworowski

TRZY lata temu obchodziliśmy, również w Lublinie, 60 rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 roku. Zainteresowania społeczne skoncentrowały się wówczas wokół przesłanek politycznych jakie sprzyjały temu, aby po latach zaborów znów powstało państwo polskie. Niewiele natomiast mówiono o wysiłku zbrojnym Polaków, który poprzedził moment odrodzenia się państwowości polskiej, a jednocześnie był znamię walki narodu nie szczędzącego ofiar dla sprawy niepodległości swej ojczyzny.

W latach wielkiej wojny światowej można mówić o trzech drogach, na jakich stanęli Polacy do czynu zbrojnego w imię praw swej ojczyzny. Najbardziej znana jest droga Legionów, których zaчатки organizowane były, od paru już lat przed wybuchem wojny światowej na terenie zaboru

austriackiego. Legiony jednak — i to jest droga następną — powstały także po stronie rosyjskiej, czego przykładem akcja płk. Witolda Górczyńskiego, który podjął werbunek do Legionu w Puławach. Również po wybuchu rewolucji lutowej w Rosji, na terenach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej powstały trzy silne polskie korpusy wojskowe. Największe efekty liczebne — i to jest nurt trzeci — przyniosła akcja zaciągu do formacji ochotniczych Polaków-emigrantów z Ameryki i Francji, którzy stworzyli armię polską, walczącą przy boku wojsk francuskich przeciw Niemcom na zachodnim froncie toczącej się wojny. Armia ta, dowodzona już później przez gen. Józefa Hallera, dotrze na teren wolnej Polski dopiero po 1918 roku.

Dokończenie na str. 8-9

Gleb Gorbowski

MOJE DZIECINSTWO

Wojna mnie wykarmiła na swoim śmietniku, musiałem tak w nim grzebać jak ryjówka szara i jak Gavrroche być sprytny. Zawsze coś znalazłem, zawsze coś tam znalazłem, jeżeli się starać: zielony sucharek, skórkę sera, cierpki aromat puszek po konserwie... Jak semafor z rozerwanych spodni świeciła kolan przemarzniętych czerwień. A wściekle kulki zamiast piasek ćwierkały sobie... Szary dym niby chorągiew młodych lat tych naszych nad horyzontem wstawał złotym, złym...

Dalsze wiersze na str. 7

O Glebie Gorbowskim i jego wierszach

GLEB GORBOWSKI, jeningradczyk, urodził się w roku 1921. Suma jego doświadczeń życiowych można byłoby obdzielić kilka osób. Życie powinno się właściwie głoczyć skorną i uczynić szorstkim. Gorbowski rzeczywiście zamyka się niekiedy w sobie, uchodzi w swój własny świat. Zachował jednak młodzieńca, dziecią prawie wrażliwość.

Po raz pierwszy przyjechał do Polski kilka lat temu, na zaproszenie miesięcznika „Poezja”. Spotkania — oficjalne i towarzyskie — trochę go przytłoczyły. Robił wrażenie przegazzonego, smutnego. W ostatnim dniu wizyty kilka osób zebrało się w moim mieszkaniu. Gorbowskiemu przypadła rola centralnej postaci, ale z początku nie się nie kielto. Ktoś wpadł wreszcie na pomysł, że najlepiej byłoby po prostu przeczytać kilka wierszy. Gleb wyciągnął notes, solidny notes w grubej oprawie, i zaczął czytać, wybierając na początek utwory żartobliwe, z pogranicza groteski. Rozejrzał się i nagle poczuł się potrzebny, rozkwitła mu twarz. Czytał bryki, z zawsze aktualnymi w poezji motywami — miłości i śmierci. „No bo o czym tu jeszcze pisać? O kartoszcz?”

Było to jedno z tych nielicznych, improwizowanych, a nie organizowanych spotkań, które pozostawiają trwały ślad. Zdawało się, że wszystkie wątpliwości (Co i po co tłumaczyć? Czy poezja się starzeje? Czy naprawdę istnieją wartości ponadmaterialne?) zostały nagie, dramatycznie i ostatecznie rozstrzygnięte. Podarowałem Gorbowskiemu tomiki Czechowicza i Grochowicka, Rozstaliśmy się o czwartej rano.

Gleb Gorbowski wydal dziewięć tomów wierszy. Współpracuje z miesięcznikiem „Aurora”, obchodził niedawno dwudziestolecie pracy artystycznej. Pisze również opowiadania i teksty piosenek. Dla potrzeb filmu tłumaczył polskie piosenki partyzanckie na język rosyjski.

Warto zwrócić uwagę na rozległość jego wyobraźni. W wierszach Gorbowskiego wszystko może się zdarzyć, chociaż formalnie rzecz biorąc, należałoby te wiersze nazwać tradycyjnymi. Co prawda „okręty nie przypieczętują na stalowych brzościach pod okno władcy Maroka”, ale tylko dlatego że nie ma takiej potrzeby. Potencjalna możliwość istnieje, Gorbowski wcale jej nie odrzuca. Nawet jego własne słowa o miłości i kartoflach traca niekiedy moc. Gdyby zechciał, mógłby sprawić, aby ziemniaki stały się poetyckie.

Andrzej Bień

Sprawa Armii Polskiej (1)

Stanisław Rostworowski

ZAWIAZKIEM Legionów Polskich walczących w obecnej wojnie, a świeżo uznanych za kadry armii Polskiej, były stowarzyszenia wojskowe tworzone w Galicji od roku 1908 pod nazwą „Związków” i „Drużyn Strzeleckich”. „Drużyn Bartoszewych” oraz „Sokoła”. Zadaniem ich było wykształcenie oficerów i podoficerów dla polskiego ruchu zbrojnego na wypadek wojny z Rosją.

W pierwszych latach związki te były zakonspirowane przed władzami, a dopiero po roku 1911 — konflikt z powodu okupacji Bośni i Hercegowiny — zostały poufnie zaakredytowane przez władze wojskowe austriackie, od których mogłyby nabywać broń do ćwiczeń i otrzymywać nieoficjalne pozwolenia na urządzanie manewrów w terenie. Organizacje wojskowe miały swe rozgałęzienia

na terenie Królestwa Polskiego oraz wśród młodzieży polskiej w Szwajcarii, Belgii, Francji i Ameryce. Liczba członków dochodziła do 30 000 ćwiczących, z których znaczna część jednak uległa poborowi do armii austriackiej w chwili ogólnej mobilizacji, a inna część nie mogła przedostać się do Galicji i stanąć do szeregu. W Krakowie i we Lwowie zorganizowane były szkoły oficerskie i podoficerskie, a jak wykazały późniejsze wypadki wojenne, poziom nauk był dosyć wysoki na to, by wykształcić doskonałych dowódców batalionów i kompanii. Koszta związane z umundurowaniem ponosił Polski Skarb Wojskowy, na którego cele młodzież polska opodatkowała się dobrowolnie.

Dokończenie na str. 8-9

*) „Poezja” drukowała kilkakrotnie wiersze G. Gorbowskiego w przekładach Tadeusza Chrościelewskiego, Krzysztofa Gasiorowskiego i Marka Wawrzkiwicza. W Polsce najbardziej znany jest jako autor piosenki „Nad kinem Wolność z wolna neon się rozpała” (przekład A. Osieckiej), która śpiewana w STS-ie stała się największym przebojem studenckim lat sześćdziesiątych.

Cincmania

"CINCMANIA" to zwrot wypowiedziany stem w języku niemy-angielskim wszędy tam, gdzie szwendają się rudziemcy twardej dewizy. Oznacza on propozycję wymiany pieniędzy (jak mawiają złośnicy, wymiany pieniędzy na złotówki). Ostatnio cinkciarze wypłynęli spod hoteli i-peweków na łamy prasy i już nie szeptem, lecz całkiem głośno, domagają się wymiany pieniędzy. Na dodatek chcą wymienić złotówki na złotówki.

Nie dziwiłbym się, gdyby neo-Grabskim był minister finansów, bo przecież cały zysk z wymiany przejmują podległy mu bank. Ale okazuje się, że min. Krzak nie chce być cinkciarzem i publicznie, w wywiadzie telewizyjnym, odciął się od takiego pomysłu. Natomiast do grupy miłośników wymiany dołączyło grono członków KKP NSZZ „Solidarność” podczas jej obrad 22-23.X. Trochę mnie to zdziwiło, gdy usłyszałem, że związkowcy chcą, aby odbierać im pieniądze. Wprawdzie od momentu, gdy dowiedziałem się, że delegaci na zjazd OKP branżowych ZZ zgłaszali propozycję odebrania sobie prawa do strajków, doszedłem do wniosku, iż nie mnie już nie dziwi, ale mimo wszystko... Jak tak dalej pójdzie, to Federacja Konsumentów zażąda podwyżek cen, Klub Ekologiczny uruchomiłaby hutę w Skawinie, a red. J. Urban przejmie po zmarłej E. Iphorskiej poradę z zakresu savoir vivre w „Przekroju”.

Ala wróćmy do naszych baranów, czyli zwolenników „cinc many”. Zdecydowany odpór — poza wspomnianym wywiadem — dał im na łamach „Polityki” D. Fikus. Jego argumenty sprowadzały się do trzech. Po pierwsze — zabieg wymiany pieniędzy jest niemożliwy do przeprowadzenia na zasadzie społecznego konsensusu. Wiedząc o wymianie, każdy z nas chwyci swoje moniaki i poletci na rynek kupować co się jest — da, a po piętnastu minutach nie zostanie w sklepach nic. Z kolei, gdyby nawet premiera uczynić królem, prymasem, przewodniczącym KKP i SDP, to i tak mieliby za mało władzy, aby dokonać wymiany przez zaskoczenie społeczeństwa. Po drugie — wymiana uderzyłaby przede wszystkim w drobnych ciułaczy. Po trzecie — Polski nie stał na wydatku 6 mld zł niezbędnych dla pokrycia kosztów druku nowych banknotów.

Mimo licznych głosów rozsądku postulat wymiany pieniędzy błąka się nadal po salonach i pakamerach. Sądzę, że bierze się on z tego, iż duża część społeczeństwa nie wie, na czym wymiana polega. Jest to przypuszczenie o tyle sensowne, że tylko jedna trzecia ludności miała w 1959 r. więcej niż dziesięć lat i pamięta dziś ówczesną wymianę. Dlatego postanowiłem zaprezentować krótki przegląd jedenastu wymian pieniędzy, jakie miały miejsce w dotychczasowej gospodarce socjalistycznej.

Zaczęło się w 1921 r. w Rosji radzieckiej. W tym przypadku, podobnie jak na Węgrzech w 1946 r., nastąpiło po prostu ulewne nieuprzednio obiegające pieniądze. Mówiąc ściślej, na Węgrzech pengó były wymieniane na forinta, ale w proporcji 4x10¹⁰ pengó za 1 forinta. 400 septyllionów (czyli czwórka z 29 zerami) to nawet nie było tak bardzo dużo, gdyż znaczek pocztowy (Zumstein nr 552) kosztował 500 kwadryllionów (piątka z siedemnastoma zerami). Mimo to nie było chętnego do zapłacenia równowartości 400 mld (wreszcie jakaś mała liczba) znaczków pocztowych za jednego forinta.

W 1945 r., nie zmieniając cen, wymieniono stare korony na nowe w CSR. Wymieniano jedynie 500 kr na osobę, reszta — praktycznie — przepadała. W 1946 r. w Bułgarii postąpiono podobnie, ograniczając wymianianą kwotę do 2 tys. lewa. W 1948 r. w radzieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech zastosowano inny wariant. Przy niezmiennych cenach i wymianie pieniędzy 1 za 1, nie tylko wprowadzono ograniczenie wymiany do 70 marek (reszta zasobów gotówkowych przepadała), ale także zredukowano oszczędności, wymieniając je w relacji 5 marek starych za jedną nową. W Rumunii w 1946 roku potężono wymianę pieniędzy z denominacją, tj. zmniejszeniem skali obiegu. Wymieniano 20 tys. starych lei za 1 nową przy ograniczeniu wymiany do 1 mln na głowę i 1 mln na członka rodziny. Wymiana polska w 1950 r. polegała na redukcji cen 23-krotnie i 100-krotnie redukcji zasobów pieniężnych. W tej samej relacji to ceny wymieniano jedynie bieżące płace i wkłady w PKO, które stanowiły tylko 1 proc. zasobów pieniężnych. Wymiana ta polegała więc na trzykrotnym zmniejszeniu oszczędności gotówkowych ludności. Podobny charakter miały wymiany w 1952 r. w Bułgarii (Ceny i płace zmniejszono 25-krotnie, a oszczędności 100-krotnie) i w Rumunii (analogicznie — 20-krotnie i 100-krotnie oraz w 1953 r. w CSR, gdzie przy wymianie koron na jeszcze nowsze — w skali 1 za 1 — ograniczono wymianę do 300 kr dla pracowników państwowych, a równocześnie zredukowano im oszczędności bankowe pięciokrotnie (gras ciężaru wymiany przerzucono na tzw. inicjatywę prywatną, której przedstawicielem za 36 kr dawano jedną). I wreszcie w NRD w 1957 r. wymieniono (w skali 1 za 1) każdemu do 300 DM. Pozostałe kwoty były zdeponowane w banku i wypłacane po udowodnieniu ich pochodzenia.

Przedstawiłem zasady tych wymian, aby zrozumieć, że muszą się one odbywać kosztem redukcji jeżeli nie dochodów w ogóle, to przynajmniej oszczędności. W sytuacji polskiej anno 21 trzeba by zarówno zredukować płace (np. o 15 proc.), jak i oszczędności (np. trzykrotnie). I to wyjaśnia wszystko. Każdemu, kto dalek postuluje wymianę, proponuję, aby dostarczył mi jednego ochotnika zgadzającego się na obniżenie mu płac, trzymanie cen i odebranie większej części oszczędności. Wtedy podyskutujemy.

emzet

DWA WYWIADY

GŁOS SZCZECIŃSKI” zamieścił wywiad z Edwardem Osóbką-Morawskim (ponieważ młode pokolenie nie jest w historii zbyt mocne, „Głos” przypomina, że był on przewodniczącym PKWN [lipiec — grudzień 1944], premierem i ministrem spraw zagranicznych Rządu Tymczasowego [do maja 1945] oraz premierem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej [czerwiec 1945 — luty 1947] a także ministrem administracji publicznej [1947—49], pomniejszych funkcji — brak).

Wywiad przeczytałem z mieszanymi uczuciami. Sądzę np., że ocena Bolesława Bieruta jest zbyt powierchowna, skrzywiona, ale b. premier mógł z osobistych względów nie czuć do niego sympatii. „Jako prezydent Rzeczypospolitej — mówi np. E. Osóbka-Morawski — postępował (Bierut) zależnie od klimatu. Jak był dobry klimat w pierwszym okresie, to on też był dobry. A jak się zmieniło, to na zimno, z pełną świadomością mówił na białe — czarne, a na czarne — białe”.

A oto dalsze fragmenty wywiadu:

— „Okres pana kariery politycznej nierozdzielnie wiąże się z osobą Józefa Stalina. Miał pan z nim kilka spotkań. Jak postać ta zachowywała się w pana pamięci? Czy miał pan może nawet okazję uczestniczyć w słynnych nocnych biesiadach u Stalina?”

— Spotykałem się ze Stalinem nawet kilkadziesiąt razy. A jeżeli chodzi o te uczy, to był taki styl: w dzień spali, w nocy pracowali, gdzieś do północy, a o północy całe Biuro Polityczne jechało na obiad do Stalina, około 30 kilometrów od Kremia. To trwało zawsze parę godzin, przy tej okazji były rozmowy polityczne, takie swobodne. Jak już się wszyscy rozweselili winem, to Stalin puszczał taką płytę, brał się pod boki i tańczył trepaka. A wszyscy mu wtórowali. Bierut i Żymierski też. Ja siedziałem samotnie, nie piłem nigdy, więc oni mi dali spokój i pozwalali się przypatrywać na trzeźwo. Pewnego razu Chruszczow, kiedy Beria wstał, by trochę wyprostować kości, wziął ze stołu tort, położył mu na fotelu i Beria usiadł na tym torcie. Tak więc atmosfera była dość swobodna.

Cóż Stalin... W tych „miodowych miesiącach” to on był dla nas, Polaków, bardzo dobry, załatwiał wszystko, o cośmy się zwracali. A potem się zmienił. Ja przestałem być zapraszany na nocne „obiady”, kiedy nie zgodziłem się na zakładanie spółek mieszanych polsko-radzieckich. A wyrazili na to zgodę nawet Mao Tse-tung i Tito. Chociaż pierwotnie miał w stosunku do mnie inne zamiary. Świadczyłyby o tym bankiet, który wydaliliśmy w Moskwie z okazji utworzenia Rządu Jedności Narodowej. Był na nim obecny ambasador amerykański, Harriman, i angielski, Kerr-Clark, inni ambasadorowie: brakowało tylko przedstawicieli Hiszpanii, Kuby i Watykanu. Stalin wniósł wówczas toast, w którym wyłożył tezę o dwóch obozach w Polsce — antysowieckim: londyńskim i przyjaznym: Osóbki-Morawskiego. A był tam obecny również Bierut i raczej on winien być wymieniony zamiast mnie...

— Czy teraz, po Sierpniu, miał pan propozycję powrotu do życia społecznego?

— Miałem propozycję Wałęsy, żeby zostać jego doradcą. I on już nawet chciał mnie przedstawiać w tym charakterze. Ale jeden z jego przybożnych doradców czy sekretarzy powiedział, że może poczekać z tym przedstawianiem, „bo za niska ranga dzisiejszego spotkania”. Myślę, że była to próba wstrzymania — na razie — decyzji. A potem widocznie wzrosły opory wśród tych

doradców, bo akurat jest tam dużo takich ludzi, którzy zawsze byli moimi przeciwnikami. Nigdy nie walczyli z otwartą przybitą, żadnych zarzutów mi nie stawiali, ale zawsze czułem, że mnie zwalczają, gdziekolwiek jestem.

— Kim są ci ludzie?

— Jest to grupa około 30 osób — nazwisk nie chciałbym tu wymienić — którzy swego czasu byli największymi sekiarzami w partii, różni byli stalinowcy i neostalinowcy... A innych propozycji nie miałem”.

Tyle Edward Osóbka-Morawski. Natomiast Lech Wałęsa udzielił na inne tematy wywiadu tygodnikowi „CZAS”. Przytaczam niektóre spośród wypowiedzi przewodniczącego NSZZ „Solidarność” bez komentarza (pożyjemy, zobaczymy...).

— „Powiedział pan w czasie Zjazdu, że demokracja to nie jest gaganie i że jeśli w sposób niedemokratyczny może być podjęta słuszna decyzja, to należy ją podjąć...”

— Tak jest! Na przykład w marcu tego roku, przed zawarciem porozumienia warszawskiego, cała KKP musiała się dopasować do mojej decyzji o odwołaniu strajku powszechnego. Jeśli stoję na czele tego ruchu, to znaczy, że odpowiadam za co najmniej dziesięć milionów ludzi, muszę się więc liczyć z ich opinią. Działalce kombinują trochę inaczej, dlatego czasami ich nie słucham. Zawsze natomiast będę słuchał tych dziesięciu milionów i to jest — moim zdaniem — bardzo demokratyczne. Pracowałem jako robotnik przez dwadzieścia jeden lat, więc naprawdę dobrze czuję, co myślą „doly”. Ja nie jestem dla działaczy, ja jestem dla ludu.

— Dlaczego żądał pan na Zjeździe wyprofilowania czy nawet ujednolicenia prasy związkowej?

— Może nie ujednolicenia. Chciałbym jedynie, żeby w naszej prasie rzeczywiście pisano to, co budzi zainteresowanie społeczne. Żeby nie było takich manewrów, jak w „Wolnym Związku”, gdzie wyłącznie leżą jednostronne tematy polityczne. W naszej prasie powinno być dla każdego coś miłego. Mogą być na końcu i żarty i „misie” rysowane, ale nie wszystko w jednej barwie. Do środka trzeba dawać więcej o życiu związkowym w regionach i zakładach, a na pierwszej stronie — o pracy KKP.

— Przed wyborami do prezydium KKP odbył pan rozmowy z ludźmi, których widział pan jako swoich najbliższych współpracowników. Później, w czasie pierwszego posiedzenia KKP, spośród dwudziestu kilku kandydatów do prezydium wskazał pan duunastu, z którymi chciałby pan działać. Dlaczego w tej duunastce nie znaleźli się najbardziej dotąd znani z nazwisk działacze „Solidarności”?

— Już mówiłem, że są ludzie sprawdzający się przede wszystkim w bezpośredniej walce. A dziś trzeba walczyć inaczej, stosując inne metody. Dlatego dobrałem sobie innych ludzi.

— Powiedział pan na I Zjeździe: „Nie doceniałyśmy partnera, za bardzo uwierzyliśmy w siebie. Jednocześnie nie zauważamy problemów, kłopotów i metod, jakimi możemy być pokonani”.

— Tak jest! Dlatego też zawsze będę doceniał partnera (nie — przeciwnika, bo to jest partner, wygodny, albo nie, ale partner, z którym musimy się w jakiś sposób ułożyć). To nie znaczy, że nie musimy walczyć, bo z partnerem można i walczyć — ale tak, żeby wygrać, a nie przewracać go.

— Tuż po pierwszym posiedzeniu KK powiedział pan, że jest pełen szacunku wobec dużego programu Związku, ale na swój użytek ma pan program inny, mniejszy.

— To znaczy — ten duży program w pełni akceptuję, a jednocześnie będę go próbował wykorzystać w niewielkich, doraźnych rozwiązaniach. Zawsze zresztą mówiłem, że nie ludzi trzeba dopasowywać do programu, tylko program do ludzi, do życia. Mój mały program nie ma czterdziestu pięciu stron, ale przewiduje na przykład: jak zlikwidować kolejki w sklepach, jak usprawnić podział dóbr konsumpcyjnych, jak zabezpieczyć demokrację w Związku i tak dalej. Tylko muszę to wszystko jeszcze porządnie przemyśleć.

— „Solidarność” we wszystkich rozgrywkach wciąż jako ostatecznego argumentu używa groźby strajku. Czy nie można by go wreszcie czymś zastąpić?

— Oczywiście, że tak. Na strajki tradycyjne już nas nie stać. Myślimy nad innymi rodzajami protestów, wskutek których nie traciliby ani społeczeństwo, ani gospodarka.

— Tymczasem jednak niemal co dzień w różnych regionach kraju wybuchają dzikie strajki, których przywódcy nie bardzo dbają o zakazy KK. Prowadzi to do swego rodzaju „uchwałologii niestosownej”, trochę podobnej do tej z czasów Gierka i Jaroszewicza. KK wydaje zresztą mnóstwo dokumentów i zaleceń, których realizacja jest znikoma. Czy nie sądzi pan, że wskutek bałaganiarstwa i braku realizmu u części związkowców — może być rozmięzioną na drobne wielką myśl, przewijającą się u narodzie od Sierpnia?

— Tak jest! Tu znowu leży przede mną jakaś uchwała z Piotrkowa, a wczoraj była podobna z Suwałk. Tych rzeczy się trochę boję, trzeba będzie mocniej w stół trzasnąć. Że: panowie, nie żartujcie, bo sprawa jest poważna. Oczywiście, zastanowimy się, jak sprawiedliwie dzielić wywność między województwami, ale nie wolno robić „partyzantki”. Ten ruch jest silny i wielki, nie można go rozczłonkować. Każdy region, który idzie na jakieś niebezpieczne ruchy, musi powiadomić partnerów z lewa, z prawa i ze środka, żeby było wiadomo, co jest grane. A nie — wciągać nas w grę w najbardziej nieodpowiednich momentach.

— Podczas Zjazdu „Solidarność” wyraźnie wyszła niechęć wielu delegatów do PZPR. Co pan na to?

— To jest złe, a zarazem dobre. Bo jeśli jest niechęć do partii, mającej za sobą tyle błędów i wypaczeń, to równie dobra jest niechęć do zawiązywania następnych partii, które by się kłóciły, były o władzę i tak dalej. Ja to rozpatrzuję pod takim kątem...”

Tego wywiadu udzielił Lech Wałęsa w dniu 12 października. Nieco inne słowa padały już 27 października w czasie wiecu w Zakładach Liniarskich w Żyrardowie (patrz „Trybuna Ludu” z 23 października).

Komentator „Trybuny” pisał w związku z tym m. in.: „Lech Wałęsa mówił, że zbliżamy się do finału rozgrywek, że, albo zwyciężymy, albo nas pokonają. Mamy prawo spytać Pana przewodniczącego: kto zwycięży? kto kogo pokona? Mamy prawo zwrócić uwagę Lechowi Wałęsie, że te jego słowa można odczytać dość jednoznacznie: nadziedzi czas konfrontacji. A jeżeli tak, to znów pytanie: kogo z kim i w czym interesie? Czy to jest właśnie ta koncepcja, którą przedyskutowano w różnych źródłach i za granicą...”

(mj)

z notatnika

21.X. Musiałem znacznie skrócić mój notatnik w poprzednim numerze „Kamery” z uwagi na ostatnie wieści z przebiegu IV Plenum KC. Głosy z dyskusji szeroko relacjonuje „Trybuna Ludu”. Niektóre — bardzo interesujące!

Opinia francuskiego „Figaro” po V Plenum:

„Solidarność” znalazła się w kłopotliwej sytuacji i ma trzy drogi do wyboru:

— uczestniczyć w proponowanej przez partię unii, czyli zgodzić się na działanie w ramach systemu, co jest wprawdzie zgodne z porozumieniami gdańskimi, ale grozi „Solidarność” rozłamem;

— pozostać z zewnątrz, ale zgodzić się na „doświadczenie ostatniej szansy” Jaruzelskiego — oznacza to pozostawienie partii inicjatywy;

— przeciwstawić się programowi, ryzykując to, że zostanie uznana za „siłę antysocjalistyczną”, i biorąc na siebie odpowiedzialność za starcie o tragiczne skutki...”

W konkluzji pismo stwierdza: Wkroczylimy w zupełnie nowy etap polskiego kryzysu. Wśród jego nowych elementów do najważniejszych należy świadomość, że jeśli dojdzie do użycia siły, stanie się to nie w celu brutalnego przywrócenia Ładu ale po to, by — paradoksalne i tragiczne — uratować program odnowy i demokracji. Stwarza to całkiem nową sytuację polityczną.”

Na moment zostawmy politykę. Austriacki „Neues Volksblatt” zwraca uwagę na inne aspekty polskiego kryzysu, na upadek... manier. Stwierdza, że oczekiwanie na dostawy artykułów powoduje, iż Polacy, znani od lat z dobrych manier w stosunku do kobiet, zapomnieli o tym w długich kolejkach, zapominając nawet udogodnień dla osób starszych i matek z małymi dziećmi.

Racja. Nie chcą bronić rodaków, ale taka na przykład Francja nie przeżywa kryzysu, a tymczasem i tam — jak pisze tygodnik „Le Point” — coraz bardziej szerzy się gburowatość. Pukającym zatrzaskuje się drzwi przed nosem, pomyłki telefoniczne powodują wściekłe rzucanie słuchawki na widelki, a takie słowa jak „dziękuję”, „dzień dobry” czy „przepraszam” niemal całkowicie poszły w zapomnienie. „Proszę do mnie mówić łagodnie” — czytamy na afiszu wywieszonym w gabinecie sekretarki dyrektora. A znów na kiosku z gazetami można zauważyć szyld: „Nie jestem biurowym informacyjnym, ale jeśli ktoś mnie grzecznie zapyta, udzielę mu informacji”.

Pocieszyłem się.

Oczywiście pocieszać się można długo. Oto np. zachodniemiecki „Rheinischer Merkur Christ und Welt” donosił, że co rok emigruje z RFN 50 tysięcy obywateli tego kraju, o 45 proc. więcej niż w ub. r. W ciągu dwunastu miesięcy wnioski o wizę na stały pobyt w Australii złożyło 15 tysięcy ludzi.

Każdy wniosek jest szczegółowo rozpatrywany. Kandydat musi przejąć test oparty na elementach gospodarczych i personalnych. W obu dziedzinach musi zebrać od 30 do 50 punktów. Najwięcej punktów, bo 14, daje „zapotrzebowanie na dany zawód” w kraju imigracji. Po sześć punktów daje uznanie w Australii świadectw kwalifikacji zawodowych oraz dysponowanie środkami pieniężnymi, które można przekazać do Australii (kandydat z Polski na wyjazd do Australii raczej miałby tu z punktami kłopoty...). Spośród czynników personalnych grają rolę takie, jak zdolność adaptacji, inicjatywa, niezależność, samooponowanie, prewencja i znajomość angielskiego. Natomiast wśród zawodów preferowane są takie, jak: inżynier, technik, elektryk, metalowiec.

Na wyjazd do Australii najczęściej zgłaszają się ludzie w wieku 31—30 lat. Stan cywilny — wolny.

Znamienne, że wzrost liczby emigrantów z RFN wiąże się — tak przynajmniej ocenia cytowane pismo — w dużym stopniu z wydarzeniami w Polsce. Ale nie tylko. Jedni obawiają się katastrofy atomowej w Europie, drudzy kierują się rosnącymi kosztami utrzymania, inni znów chcą wyostać się z zaciasnych już dla nich granic, opuścić bardziej zatrute środowisko.

24.X. Sytuacja w kraju dalej się zaostża. Zaburzenia w Katowicach i we Wrocławiu, strajki lokalne w kilku województwach, częściej na tle złego zaopatrzenia w żywność. Wprawdzie — jak lubił mówić Gomułka — z pustego i Salomon nie należy, nie mniej działania naszej administracji często pozostawiają wiele do życzenia. Strajk powinien być jednak bromią ostateczną. Powstaje jedno wielkie błędne koło. A tu Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”, która najwyraźniej nie panuje nad sytuacją w regionach, ogłasza na 28 bież. miesiąca jednogodzinny strajk ostrzegawczy i grozi tzw. strajkiem czynnym!

Najbardziej zadziwia mnie strajk w woj. zielonogórskim. Dyrektor z zakładu PGR Lubogóra cofa pracownikowi „oddelegowanie do etatowej pracy związkowej”. Motyw — brak wymaganej (bodaj 250) liczby członków NSZZ „Solidarność”. Podkreślam — cofa oddelegowanie, lecz przecież nie usuwa z roboty. Facet nie chce wrócić na dawne stanowisko — kierowcy i zaczyna się kolomyjka.

Tymczasem rząd powołał terenowe grupy operacyjne, które będą działać w gminach i określonych miastach. Póki co nimi żołnierze zawodowi. Grupy podejmą działania na rzecz dobrego przygotowania do zimy, ożywienia i usprawnienia skupu, poprawienia pracy transportu, a także walki z przejawami nieuczciwości, kumoterstwa, marnotrawstwa i niegospodarności. „Wobec wyjątkowej sytuacji — wyjątkowe środki” — powiedział rzecznik rządu.

Na Zachodzie twierdzi się, że gen. Jaruzelskiemu nie chodzi o „skrzyżowanie kling z „Solidarnością”, ale o zahamowanie bałaganu, aby wyposażyć się w środki dla kontynuowania polityki odnowy w atmosferze Ładu.

29.X. Jesteśmy po wczorajszym jednogodzinny strajku i po V Plenum KC PZPR, na którym to plenum gen. Wojciech Jaruzelski stwierdził, że „totalizm strajkowy tym razem się nie udał — po raz pierwszy w takim wymiarze, z taką jednoznacznością, wypowiedziały się przeciwko strajkowi organizacje naszej partii oraz stronnictw sojusznicy, organizacje społeczne i młodzieżowe, a w szczególności branżowe, autonomiczne oraz inne nieskonfederowane związkowe organizacje...”. Ostro, boleśnie zabrzmiały słowa: „Nasz hymn narodowy, który pokolenia całe czyli jak świętość, jak relikwię — staje się przegrzywką do różnych strajkowych i protestacyjnych akcji. „Jeszcze Polska nie zginęła” — a Polska ginie!”.

Stefano Malatesta tak pisze o strajku na łamach włoskiego „La Repubblica”: „Był to strajk beznamiętny, posępny. Ulotnił się entuzjazm, pozostała tylko wrogość i głucha obojętność. Podczas ostatniego strajku generalnego Warszawa była udekorowana flagami, ludzie chodzili ulicami w nastroju radosnego podniecenia, napawali się wolnością, doznawali nieznanego uczucia, mogąc powiedzieć „nie” rządowi. Dzisiaj flagi „Solidarności” powiewały na nielicznych tylko budynkach, wszyscy dalej stali w niekończących się kolejkach przed sklepami spożywczymi... Strajk przeszedł, się w całym kraju trwają lokalne protesty. Fragmentaryczne, rozsiane, spontaniczne konflikty nadal się utrzymują. Po raz pierwszy sam związek przyznał w opublikowanym w środe komunikacie, że w terenie nie honoruje się już dy-

rektyw wydawanych przez centralny ośrodek organizacji...”. Zdaniem Malatesty najlepsza godzina „Solidarności” już minęła, „nastąpiły głębokie podziały wokół strategii, a także wskutek personalnych ambicji, nadmiernej optymizmu wyrażającego się w wysuwaniu niewyważonych postulatów. Kryzys ugodził również w Wałęsę. Wydaje się, że przewodniczący „Solidarności” utracił znaczną część swej charyzmy, chociaż nadal jest popularny w terenie. Jego stosunki z liderami ugrupowania radykalnego, które kontroluje dużą część organizacji, stały się bardzo napięte. Zręczne przemówienia, które mobilizowały aktywistów, zaczynają być oceniane jako zwykła rutyna”.

Malatesta stwierdza również, że Wałęsa był przeciwny strajkowi generalnemu.

Z kolei zachodniemiecki „Der Tagesspiegel” pisze, że „im dłużej utrzymują się w Polsce konfrontacje i napięcia, tym wyraźniejszy jest podziały opinii publicznej. Stąd właśnie wydaje się wynikać fakt, że podczas wczorajszego strajku na ulicach Warszawy... nigdzie nie doszło do demonstrowania przez społeczeństwo sympatii dla jego organizatorów. 28 października było zupełnie inaczej niż podczas ostatniej porównywalnej akcji strajkowej w marcu tego roku. Na ulicach Warszawy tym razem panowała cisza”.

30.X. „Gazeta Krakowska” z 27 października opisuje, jak to w Nowotaraskich Zakładach Przemysłu Skórzanego „Podhale” po raz pierwszy w dziejach przedsiębiorstwa wyłoniono szefa w wyniku konkursu. Po ogłoszeniach w prasie na ten temat zgłosiło się 18 kandydatów, spośród których ośmiu przystąpiło do konkursu.

Interesująca to rzecz, więc warto trochę na ten temat napisać. Egzaminatorami było sześciu ekspertów ze Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego oraz z Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Pierwsza runda. Kandydaci na dyrektora rozwiązują pisemne testy. Pierwszy — „organizator” — polegający na tym, że uczestnik konkursu, mając podaną konkretną sytuację i konkretny przypadek, musi w ciągu 20 minut podjąć właściwą decyzję. W drugiej części testu podana zostaje prawidłowa odpowiedź, po czym kandydaci w ciągu następnego 20 minut mają ocenić ją sami przy pomocy punktów. Kolejny test brzmi: „diagnoza stylu zarządzania”. Ma on na celu niejako sprawdzenie własnego sposobu postępowania na stanowisku kierowniczym...

Druga runda to krzyżowy ogień pytań, które dotyczą najróżniejszych problemów przedsiębiorstwa, możliwości ich rozwiązania, programu przedstawionego przez kandydata, jego kariery zawodowej, orientacji w zmianach, jakie zaszły w kraju i stosunku do nich. Oto próbie niektórych tylko pytań: ile powinien zarabiać dyrektor, jaką rolę ma do spełnienia w sporze ze związkami zawodowymi, czy uruchomiłby trzecią zmianę dla uzyskania lepszych zysków, na ile godzin dziennie ocenia pracę dyrektora, jak rozwiązałby problem polepszenia warunków socjalnych w zakładzie itp.

I teraz finał. Trzech kandydatów na dyrektora uzyskało największą liczbę punktów, oni też przystępują do ostatniej rozgrywki. Ten etap polega na przeprowadzeniu z każdym z trójki kandydatów rozmów na temat problemów związanych z kierownictwem przedsiębiorstwem. Na przykład: co należałoby m. in. czynić, aby nie dopuścić do postoju zakładów obuwia w Nowym Targu, jakie są największe bolączki socjalne zakładu, jak należy je rozwiązywać, czy potrzebne jest zjednoczenie, jaka powinna być funkcja ministerstwa...

Po trzynastu godzinach egzaminu dobiega końca. Zwycięcą mgr Stanisław Pełka. Ma on lat 43, jest absolwentem Akademii Ekonomicznej w Krakowie, 25-letni staż pracy w przemyśle skórzonym. Zaczynał w 1956 r. w NZPS „Podhale” na stanowisku technika normowania, później

pracował w Centralnym Laboratorium Przemysłu Obuwicznego w Krakowie, by w 1975 r. wrócić do „Podhale” na stanowisko zastępcy dyrektora ds. ekonomiczno-handlowych. Członek PZPR.

Na oś, nie mała osobliwość nowego dyrektora, ale życzę mu owocnej pracy. Może i w Lublinie zobaczymy kiedyś obuwie z kierowanej przez niego fabryki? Może nawet będziemy w nim chodzić? Wówczas wyrobim się własny sąd! Byłoby dobrze!

Buty butami, ale chodzić będzie więcej, bo MPK likwiduje w Lublinie nie 27 przystanków. Nie jestem zachwycony, że zniknie również przystanek, a właściwie przystanki, obok naszej redakcji przy ul. Skłodowskiej. Ale jeżeli ma to złagodzić problemy komunikacji miejskiej... Dodatkowym argumentem, jak pisze „Kurier”, jest też wyeliminowanie liczby pasażerów, tych, którym opłaca się przejazd 200—300 metrów, bo i takie są odległości między przystankami.

Liczbę pasażerów przede wszystkim (nie jest to popularne) zmniejszyłaby zarówno podwyżka cen biletów jak i częstsze kontrole. Pamiętajmy, że gdy po Lublinie jeździło kilkanaście wysłużonych autobusów (prawda, że miasta było wówczas mniej rozległe i liczyło trzykrotnie mniej mieszkańców). Komu chciało się czekać, aby przejechać dwa-trzy przystanki? Szlifowała się bruku!

Ale podwyżka — chcemy, czy nie — myślę że i tak będzie. Chciałbym zastanawiać się, czy MPK kiedykolwiek będzie rentowne? W takim np. Wiedniu jednorazowy przejazd kosztuje ok. dolara (przeliczając czarnorynkowo tyle, co przejazd taksówką na trasie Lublin — Nałęczów — Lublin)...

W tymże samym „Kurierze” znalazłem relację o wojskowych kontrolach w lubelskich bazach transportu. Włos się żyży! Jeśli dyrektorzy tolerują taki potwórny bałagan, może powinni zmienić pracę? Może poszukać nowych w drodze konkursu? Jeśli są członkami partii, powinna się sprawa zainteresować Wojewódzka czy Miejska Komisja Kontroli Partyjnej. A jeśli z kolei kierowcy są członkami „Solidarności”...

Ludzie, jak my się wspólnie, solidarnie nie weźmiemy za ten burdel, to klops. Z nas, Patrz, Kościuszko, na nas z nieba! I ciesz się, że Cię tu nie ma!

31.X. Dwudniowe posiedzenie Sejmu i kolejne w tym tygodniu dramatyczne przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego: „Polska potrzebuje dziś mądrości swego narodu. Wzywa nas do działania. Historia wybiła godzinę ciężkiej próby. Chcemy z niej wyjść, możemy z niej wyjść i musimy z niej wyjść. Wrócić na szeroki trakt rozwoju. Dogonić swój czas. Przywrócić domowi spokój, a ojczyźnie poczucie bezpieczeństwa i zwyczajnej pracy”.

Gdy piszę te słowa, znam tylko przebieg dyskusji z TV. Sejm dokonał pewnych zmian w składzie ekipy rządowej. Padły doniosłe propozycje w sprawie powołania Rady Porozumienia Narodowego. Ostro wystąpiono przeciwko strajkom, witała m.in. z zawołaniem ostatnie stanowisko KK NSZZ „Solidarność” w tej sprawie — apel KK o ich zawieszenie.

Sejm też jeszcze apeluje. Nie, nie tylko apeluje. Również ostrzega. Podjęta uchwała stawia stanowisko sprawie niezwłocznego zaniechania akcji strajkowych a także poleca krewi wszelkim działaniom naruszającym ład społeczny.

Gen. Wojciech Jaruzelski oświadczył: „W wypadku, gdyby ta uchwała Sejmu nie była respektowana, zwrócę się w trybie pilnym o nadanie legitycyjnego biegu rządowemu projektowi ustawy. Interesy socjalistycznego państwa, spokojny, bezpieczny byt naszego narodu muszą być i będą chronione”.

Za oknem szaleje wiatr. Zima coraz bliżej. Niech będzie ciepła. Ciepła, ale nie gorąca!

M. A. Jaworski

Jeszcze w sprawie reformy cen

Jan Zalewa

EKONOMICZNIE uzasadniony system cen jest jednym z podstawowych elementów reformy gospodarczej. Nie ulega wątpliwości, że jest on także czynnikiem decydującym o jej powodzeniu. Trwająca od pewnego czasu ożywiona i szeroka dyskusja na ten temat ma zatem pełne uzasadnienie i jednocześnie dowodzi szczególnie dużej złożoności poruszanych problemów, przejawiającej się w trudnej sytuacji produkcyjnej i rynkowej, a zwłaszcza w niskim stopniu zaspokojenia potrzeb żywnościowych oraz w spadku podaży artykułów

konsumpcyjnych, nieżywnościowych. Zwiększony strumień wydatków pieniężnych dla ludności nie spotyka się — jak wiadomo — z odpowiadającym mu strumieniem dóbr i usług. Wystarczy podać, że przeciętna płaca miesięczna w gospodarce uspołecznionej wzrosła w okresie od lata 1980 r. do marca 1981 r. o ponad 20%, a tzw. nawis inflacyjny zamknął się u schyłku roku bieżącego sumą około pół biliona złotych. Raptowny wzrost plac przy jednoczesnym spadku produkcji i stałym poziomie cen jest ewenementem zarówno w ujęciu historycznym jak i strukturalnym w skali światowej.

Drugim, ważnym powodem głębokiej dyskusji nad cenami jest karykaturalność obecnie istniejącego systemu cen. Słuszne skądinąd w okresie początkowego rozwoju naszej gospodarki powojennej zasady niskich cen środków produkcji i niskich cen żywności, przy permanentnym wzroście kosztów produkcji zdeformowały nacechowany statycznością poziom i układ cen i zażyły na jego przypadkowym charakterze. Wystarczy nadmienić, że ceny środków produkcji nie korelują z kosztami ich wytwarzania, a do przeważającej liczby tych środków stosuje się dopłaty budżetowe. Znamienną anomalią istniejącego układu cen jest występowanie około 300-miliardowej kwoty dotacji państwowych, subsydiujących głównie sferę konsumpcji żywności. Istnieje zatem dużo przesłanek uzasadniających konieczność zreformowania zarówno cen zaopatrzeniowych jak i detalicznych.

Szczególnie ożywiona wymiana poglądów, dotycząca skali, terminu, a nawet celowości podwyżek cen detalicz-

nych żywności, wynika z aktualnych i przyszłych uwarunkowań społeczno-ekonomicznych, jakie towarzyszą i będą towarzyszyły reformie cen. Ponadto posiadamy przykre doświadczenie wynikające z wysokich przecież podwyżek cen pieczywa i przetworów mącznych. Stopień rozczarowania, jaki spotkał konsumentów pieczywa i przetworów mącznych po podwyżce cen tych produktów, każe podchodzić do reformy z dużą ostrożnością. Konsumentom obiecywali sobie radykalną poprawę jakości pieczywa i możliwość zakupu świeżego pieczywa o każdej porze dnia oraz w soboty i niedziele. Tymczasem, oprócz poprawy relacji ceny pieczywa do ceny skupu zboża, ze spełnieniem pozostałych oczekiwań należy jeszcze poczekać. Paradoksalnie zabrzmiało stwierdzenie, że w obecnych warunkach cenowa elastyczność podaży zboża jest dość niska. Dotyczy to zwłaszcza większości produktów rolnych, a zwłaszcza plodów roślinnych. Główną przyczyną niemal kompletnego regulowania rynku rolnego jest — jak wiadomo — ostry deficyt większości środków do produkcji rolnej pochodzących z przemyśleń. W tych warunkach nawet wysoka opłacalność produkcji rolnej może mieć charakter formalny. Zwiększenie przychodów i dochodów ze sprzedaży produktów rolnych może małe znaczenie w procesie decyzyjnym, jeśli racjonalne wydatkowanie pieniędzy jest utracone, czasochłonne, a często wręcz niemożliwe. Obecnie rolnicy nie spieszą się ze sprzedażą plodów rolnych. Gromadzenie pieniędzy za sprzedane produkty przy zapowiedzianej podwyżce cen nie ma większego sensu. Niezwłoczne zaoferowanie rolnictwu środków do produkcji rolnej

jest zadaniem bezwzględnie priorytetowym, o czym bez skutku mówią się już od jakiegoś czasu.

Wszystkie propozycje uzdrowienia gospodarki przyjmują konieczność likwidacji kilkusetmiliardowego nawisu inflacyjnego. Zakłada się niekiedy, że podwyżka cen detalicznych żywności przyczyni się w pewnym stopniu do likwidacji tego nawisu bez uszczerbku dla stopy życiowej społeczeństwa. Założenie to jest co najmniej dyskusyjne. Jeśli podwyżka cen ma towarzyszyć pełna rekompensata placowa, zrealizowana kosztem obecnych dopłat do konsumpcji żywności, to takie przedsięwzięcie dokona się poza nawisem inflacyjnym. Niwelacyjna funkcja podwyżek cen detalicznych żywności musi prowadzić do spadku poziomu życia. Uwzględniając niski aktualnie poziom spożycia, nie widąc sensownych możliwości dalszego jego spadku. Zniewelowanie nawisu inflacyjnego drogą podwyżki cen detalicznych żywności spowoduje zatem spadek zdolności ludności do oszczędzania. Oprócz reformy cen należy więc poszukiwać również innych środków służących zmniejszeniu nawisu inflacyjnego.

Powyższe, pełne obaw rozważania bynajmniej nie dyskredytują reformy cen, której wprowadzenie potrzebne jest bodaj jeszcze w tym roku. Wechodząc w rachubę alternatywy (dostawy obowiązkowe produktów rolnych lub wymiana pieniędzy) są raczej nie do przyjęcia. Warto jednak podkreślić, że proponowana przez rząd podwyżka cen żywności wydaje się nadmierna. Niesie ona w sobie niebezpieczeństwo wejścia w nową spiralę inflacyjną. Dyskusje trwają.

CHCIAŁBYM PRACOWAĆ

CHCESZ wiedzieć, jak czuje się młody, bezrobotny mężczyzna, mąż, ojciec rocznego dziecka? Powiem ci. Czuję się oszukany i zgorzkniały. Nie wierzy we wszystko, co do niego mówią. A ja mam dodatkowo wielkiego kaca moralnego. Mam wrażenie, że jestem sprawcą nieszczęścia młodej kobiety. Przed ślubem rozważałem przed nią wspaniałą przyszłość. Oboje w nią wierzyliśmy. A teraz, gdyby nie harowa żony, nie mielibyśmy co jeść. Jola pierwsza skończyła studia, w zeszłym roku. Pojechała jeszcze do Jugosławii, nie na wczasy, na praktykę zawodową i zaraz po powrocie poszła do pracy. Drugi rok dojeżdża przeszło 30 km do wiejskiego ośrodka zdrowia. Dzień w dzień tam i z powrotem w zatłoczonych, śmierdzących autobusach. Za marne pieniądze tak się męczy. Jej pensja ledwie starcza nam na życie. O kupnie jakichś ciuchów nie ma mowy. Czasami kupi się coś dla małego. Przez rok, dopóki jeszcze studiowałem, między nami wszystko było w porządku. Ciągle wierzyła, że niedługo pójdę do pracy i będzie lepiej. Ja też tak myślałem. Przekonywałem się o tym nawzajem. Dopiero parę miesięcy temu zaczęły się zgrzyty. Ona myśli, że ja po prostu do żadnej roboty nie nadaję się i dlatego nie mogę się nigdzie załapać. A ja już czwartym miesiącem ganię z wywieszonym ozorem od urzędu do urzędu i nic. Bez skutku. Już nawet przyzwyczaiłem się do tego. Przez ten czas zobaczyłem i nauczyłem się więcej niż przez 25 lat życia i całe studia. A z prawa pracy, gdyby mi przyszło jeszcze raz zdawać egzamin, bez zająknięcia odpowiedziałbym na każde pytanie. Już w sierpniu, jak tylko mogłem dostać kwit, że zdałem wszystkie egzaminy i do ukończenia studiów pozostała mi obrona pracy magisterskiej, zgłosiłem się do pełnomocnika Ministra Pracy, Plac i Spraw Socjalnych. Zapytałem go o robotę, a ten wymienił mi: Piaski, Janowiec, Bychawa, Kazimierz i, zdaje się, Górę Puławską. Podziękowałem mu i zacząłem szukać na własną rękę. Zebrałem parę adresów od znajomych i jeden po drugim sprawdzałem. Niemal wszędzie, gdzie poszedłem, mówili, że owszem, parę miesięcy temu przydałby im się absolwent prawa lub administracji, ale teraz będą raczej zwalniać swoich pracowników administracyjnych, a nie przyjmować nowych. Dwa czy trzy razy zdarzyło się, że cheiano mnie zatrudnić za 3700 plus rekompensata. Chciałem jednak trochę więcej zarabiać. Postanowiłem poczekać. Kiedy nic lepszego nie znalazłem, wróciłem tam, ale okazało się, że wolnych miejsc już nie ma. Zajęli je koledzy z wydziału. Byli lepiej zorientowani w tym, co się szykuje. Brali to, co im się nawinęło, bez przebiegania. Podczas tych trzech tygodni poszukiwań trafiali się ciekawe rozmowy. Powiedziano mi, np., że wprowadzie wolnego miejsca nie ma, ale mąż kierowniczkę wziął parotygodniowy urlop bezpłatny i pojechał do Londynu. Jeżeli znajdzie dobrą robotę, to zadepeszuje, że zostaje dłużej, i wtedy etat się zwolni. Wszystko niby zgodnie z prawem, ale krew mnie mało nie załała. Facet oczywiście nie wraca. Depeszy też nie przysłał. Żona przedłuża mu urlop, a ja dalej szukam pracy. W końcu pomyślałem —

niech będą Piaski albo Bychawa. Poszedłem do pełnomocnika. Zaproponował mi pracę w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Swidniku. Wzięłem bez zastanowienia się. Tym bardziej, że podobne skierowania są rozchwytywane. Pojechałem do Swidnika. Wiesz, co mi powiedzieli? — Nikogo do pracy nie przyjmujemy. Zapytałem, po co w takim razie wysyłali zapotrzebowanie? Odpowiedzieli, że to było na początku roku i mieli wtedy nieco inne plany. Wróciłem do pełnomocnika i mówię mu, co mnie spotkało. Interweniował. Prezes spółdzielni przysłał pismo. Przeczytałem ci: „W związku z niewykonaniem zadań określonych NPSG na rok 1981 w obrótach i produkcji. Zarząd Spółdzielni zmuszony jest do zredukowania zatrudnienia w Spółdzielni w IV kwartale br. Dlatego też oferta nasza z dnia 9.02.1981 r. dotycząca zatrudnienia absolwenta, staje się nieaktualna. Za zaistniałą sytuację serdecznie przepraszamy”. Dobrze, nie? Za zaistniałą sytuację przepraszamy! Kiedy przeczytałem to po raz pierwszy, przypomniały mi się zajęcia z prawa pracy. Pamiętasz, jak uśmieśliśmy się z rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z 64 roku, tego w sprawie zatrudniania absolwentów szkół wyższych? Gdybym wiedział, co mnie spotka, nie śmiałybym się wtedy tak głośno. Jeden przepis tego rozporządzenia znam na pamięć: „Zakład pracy, który wbrew ustawie nie zawarł z absolwentem umowy o pracę, pomimo że ten stawił się w zakładzie pracy w celu podjęcia pracy, obowiązany jest wypłacić absolwentowi odszkodowanie w wysokości wynagrodzenia, jakie by mu przysługiwało po podjęciu pracy, nie mniej jednak niż za miesiąc i nie więcej niż za trzy miesiące. Wypłata następuje na podstawie zaświadczenia, że absolwent pozostaje bez pracy”. Pomyślałem, że odłuję sobie wszystkie krzywdy i muszę wydebić od spółdzielni parę tysięcy. Zapomniałem jednak, co w tym przepisie było tak śmieszne. Nie wiedziałem, że nikt w Polsce nie wyda mi zaświadczenia o tym, że nie pracuję. Jako absolwent kierunku objętego planowym zatrudnieniem, podlegam pełnomocnikowi MPPISS, a więc wydziału zatrudnienia odpadają. A pełnomocnik, dopóki istnieje w tym kraju choćby jedno miejsce pracy dla prawnika, teoretycznie może mi wypisać skierowanie do pracy, a więc też nie ma podstaw do wydania zaświadczenia. Po każdej przegranej sprawie wracałem do domu i musiałem opowiadać wszystko po kolei, jak było. Stanowiło to dla mnie największą karę. Matka kiwała głową, ojciec kiął na czym świat stoi, a żona ironicznie uśmiechała się. Brałem wtedy Przemka i siedziałem na piwo. Po pewnym czasie przestał pytać. Nie interesowali się nawet tym, czy szukam roboty. Zaintrygowało mnie to. Ciekaw byłam, co się stało? Matka powiedziała mi, że ojciec przeczytał w „Gazecie Krakowskiej” komunikat PAP, o tym, że 400 tys. tegorocznych absolwentów różnych szkół będzie szukać pracy, z czego 90 tys. nie znajdzie jej. Wśród tych 90 tys. jest ponoć 15 tys. absolwentów szkół wyższych. Przekonał Jolę, że to nie moja wina. Sami też wtedy dopiero chyba uwierzyli i dali mi spokój. Rodzice moi starają się jak ma-

ga, żeby nam ułożyć. Niewiele jednak mogą. Sami przez całe życie wegetowali z miesięciami na miesiąc, aby do pierwszego. Teściowie odwrócili się od nas jeszcze przed ślubem. Jak już wiadomo było, że Jola jest w ciąży, zrobili nam awanturę i zażądali, żeby przerwać ciążę. Chcieli, żeby ich córka wyszła za chłopaka co najmniej z tak samo bogatej rodziny jak oni. A my spakowaliśmy rzeczy Joli i zamieszkaliśmy u mnie. Nachodzili nas do czasu, aż powiedzieliśmy im, że na zabieg jest już za późno... A wiesz, że na bezrobociu też można zarobić? Paru naszych kolegów z wydziału pobierało stypendium fundowane przez kopalnię LZW, a teraz okazało się, że ich tam nie potrzebują. Nie żądają od nich zwrotu pieniędzy, no bo to zakład zerwał umowę i musi ponieść konsekwencje. Obliczyłem, że na jednym stypendyście kopalnie straciły około 60 tys. zł. Niezły interes. Na takich zasadach też mogłem brać stypendium fundowane nawet przez kopalnię śląską. Przez trzy, albo i cztery lata co miesiąc 2 tys., a potem — przykro nam, ale nie możemy pana zatrudnić — i jeszcze — za zaistniałą sytuację serdecznie przepraszamy. Ale na tym nie koniec tej sprawy. Pełnomocnik mówił mi, że są tacy studenci, którzy jeszcze przez rok lub dwa będą pobierali stypendia, choć potem zakład, który im płacił, nie przyjmie ich do roboty. Dyrektorzy przysyłają pisma, rezygnują ze stypendystów, a umowa mówi wyraźnie, że płacić trzeba do końca studiów. Mówię ci, koniec świata, ale najgorsze dopiero przed nami. Co to będzie, jak zaczną zwalniać ludzi i likwidować całe zakłady? Nie wierzę w to, co mówią o przekwalifikowywaniu i pomocy w szukaniu zastępczej pracy. Czeka nas najnormalniejsze w świecie bezrobocie i nie tu nie pomoże wydawanie takich czy innych uchwał i zachęcanie ludzi, żeby się brali za rzemiosło i handel. Kto dziś zaryzykuje i otworzy sklep? W wydziałach zatrudnienia mają już tylko skierowania na stanowiska robotnicze, a niedługo i te pewnie się skończą. Będziemy wtedy tyli jak w raju — nic nie robisz, a cò miesiąc bierziesz forszę. Tylko skąd to państwo weźmie tyle pieniędzy na zapomogi? Strach pomyśleć, co się dzieje. Co, już chcesz iść? Sładam i zamów lepiej jeszcze cztery piwa. Gadam z różnymi ludźmi o tym, co nas czeka. Jedni zalamują ręce, inni pocieszają, a ja mam tego dosyć. Chciałbym po prostu pracować. Sam nie wiem, co mam robić z wolnym czasem. Przychodzę więc tutaj, do „Tip-Topu”, i czekam na lepsze czasy. Nie wierzę, żebyśmy jeszcze teraz mogli znaleźć jakąś robotę. Przy piwie można się czegoś dowiedzieć, no i najważniejsze, że czas jakos leci. Parę razy, siedząc tu, dostałem parę adresów, ale też nieaktualne. Ty! Ja ci tak gadam, gadam, ty sobie nagrywasz, może co napiszesz, może nie. Jak napiszesz, to pewnie i tak ci nie wydrukują wszystkiego, co ci powiedziałem. A nawet jak wydrukują, to powiedz, co to zmieni, co ja z tego będę miał? No chyba tyle, że się piwo opije. Wpadnij tu jeszcze kiedy, to może ja postawię.

MIROSLAW DERECKI: — Pozwoli pan, że na wstępie naszej rozmowy zacytuję fragment artykułu, który ukazał się na łamach miesięcznika „Kino” trzy lata temu: „Ten [...] film to ogromny krok naprzód młodego reżysera. Jak gęby ponowne narodziny artystycznej osobowości. Nieskrępowanej, otwartej na rzeczywistość, a jednocześnie zadziwiająco sprawnej profesjonalnie. [...] Jest połączeniem dyscypliny i swobody, pewności i czułości, ręką wszystkim jednak to smiała próba ujawnienia pewnych podskórných społecznych fascynacji. Reżyser zaliczany do naszego nowego pokolenia, choć datą urodzenia chyba najstarszy, dzieli z nim wiele cech wspólnych. [...] Młodzi echa na chwilę nie przyjmować do wiadomości istniejących klisz, ustawić się obok dotychczasowych sporów. Pragną opowiadać o tym, co widzieli w życiu, czego doświadczają poza statusem artysty. Czy taka twórczość będzie się rozwijać, nie wiadomo — chyba że to pokolenie naprawdę zdolni”.

Celowo pominałem tytuł filmu, o którym pisze w 7 numerze „Kina” z 1978 r. Ryszard Koniczek w recenzji zacytowanej „Zła gorączka”, ale miłośnikom kina nie trudno się chyba domyślić, że chodzi o pańską twórczość i o pana film „Wodzirej”, z doskonałym Jerzym Siudrem w głównej roli. Dał się już pan wcześniej poznać jako twórca telewizyjnego „Noclegu” (1974 r.), noweli „Aktor” w filmie „Obrazki z życia” (1975 r.) oraz pełnometrażowego debiutu kinowego „W środku lata” powstałego w 1976 r. Nakręcony w rok później „Wodzirej” był przecież zupełnie zaskoczeniem zarówno dla publiczności jak i krytyki. Wnosił do polskiego kina coś zupełnie nowego, świeżego, wyprzedzał nowy kierunek w polskim kinie, tę całą grupę młodych reżyserów, która miała wkrótce zostać określona mianem „kina moralnego niepokoju”.

Feliks Falk: — „Kino moralnego niepokoju”... Wie pan, jak dzisiaj patrzę na to wszystko z perspektywy czasowej, to myślę, że my wszyscy, którzy zaliczono do „kina moralnego niepokoju”, staliśmy się w pewnym sensie... jego ofiarami. Staliśmy się ofiarami tego kina. Naszą twórczość zaczęto rozpatrywać w sposób „zbiorczy”. Zapomniano, że nasze filmy są jednak przecież dziełami jednostek. Może zupełnie inaczej oceniono by twórczość każdego z nas, gdyby patrzono na nas „z osobna”.

M. D.: — Więc ma pan jakieś uczucie żalu?

F. F.: — Mam. Bo przecież nie zakładaliśmy żadnej „mafii”, bo każdy tworzył sam, sam chciał się rozliczać z otaczającym go światem. Aż tu nagle zaczęto to nasze indywidualne rozliczanie sprowadzać „do wspólnego mianownika”, wpisano nas na wspólny rachunek. Tak, żal mi. Żal mi mojej indywidualności. Stałem się „masą”. I nie o mnie się teraz mówi, ale o „zjawisku grupowym”. Bylem w „Wodzireju” wczesniej... To dopiero film następny, „Szansa”, miesiąc właściwie w obrębie „kina moralnego niepokoju”.

M. D.: — A tymczasem także „Wodzirej” został niejako „webonietą” w tę nową grupę filmów, odebrano mu znamie indywidualizmu; to pana boli?

F. F.: — Jako artyście — powtarzam: jako artyście — żal mi, że muszę istnieć w grupie, a nie jestem poza grupą. Ale też nie jestem tutaj odosobnionym przypadkiem. Zapewniam pana, to uczucie ma każdy z nas.

M. D.: — To się tak dzisiaj mówi. Ale jeszcze nie tak dawno temu mówiono się dużo o potrzebie „siły przebiecia”, o potrzebie działania grupowego dla osiągnięcia celu.

F. F.: — A jednak nie każdemu z nas było to potrzebne. Na pewno nie tym czterem osobom, których nazwiska wymieniam najczęściej w związku z „kinem moralnego niepokoju”. Bo i tak każdy z tej czwórki by się sam przebił, każdy miał już pewne osiągnięcia, każdy miał doświadczenia zawodowe. Kiesłowski miał filmy dokumentalne, no i „Personel”, ja miałem „Wodzireja”, Agnieszka Holland — filmy telewizyjne; Kijowski miał już przecież za sobą „Indeks”. Wie pan, ja uważam, że gdyby pewna grupa filmów młodych reżyserów nie została pokazana w takim zmasowaniu akurat na tym samym festiwalu — w Gdańsku w 1979 r. — to nie powstałoby tak wielkie „zamieszanie” wśród krytyki i nie wrzuciliby się tych wszystkich filmów do wspólnego worka.

M. D.: — Uważaliby więc pan, że — niezależnie od tego, czy poszczególne krytycy byli wam zyczliwi, czy też nieprzychylni — utęgliście, jako grupa młodych twórców, pewnie — nawet niezamierzona — „manipulację”?

F. F.: — Ja uważam, że my nawet jakoś świadomie poszliśmy na tę „manipulację” — jeżeli już trzymać się tego pejoratywnie brzmiącego terminu. Poszliśmy na nią dla sprawy nadrzędnej. Po prostu, czas, w którym żyliśmy, wymagał określenia pewnego nurtu, chodziło o to, żeby wyeksponować pewien ogólnie rysujący się w twórczości młodych reżyserów trend społeczno-polityczny. Żeby pokazać publiczności, krytykom i administracji, że istnieje jakaś zdrowa tendencja w polskim kinie. Był też, myślę, drugi ważny powód. Polegał on na potrzebie przeciwstawienia się prądowi „produkcyjniakowo-patriotycznemu”, filmom proponowanym przez zespół „Profil”.

M. D.: — Poświęciliście więc — w bardzo polski sposób — indywidualność dla Sprawy?

F. F.: — Tak. Potem broniliśmy się rękami i nogami, ale „zjawisko grupowe” zostało już niejako usankcjonowane, a krytyka upowszechniła to bardzo szeroko.

M. D.: — W sumie przecież, występując w grupie, nasze filmy zrobiły bardzo wiele dobrego. Chodzi mi o ich wpływ na ogromnie rzadsze społeczeństwa młodzieży, o wyrwanie ludzi z pewnego letargu obywatelskiego. To powinno chyba stanowić jakąś rekompensatę dla twórców.

F. F.: — No, wie pan, z jednej strony, istotnie, był rozgłos i sława, ale, z drugiej strony, uwiódł się bardzo dużo złości, jadu i żółci przeciwko tej grupie filmów. Przeciwno tej grupie jako grupie. Przeciwno konwencji, która się przewijała przez te filmy. Jeszcze do dzisiaj uważa się niezrozumiały wręcz opór pewnej części krytyki wobec filmów „kina moralnego niepokoju”. Co jednak chyba ważniejsze, uwiódł się wobec tych filmów opór wśród młodzieży filmowej, wśród naszych młodszych kolegów-reżyserów, którzy stali dopiero przed swoimi pierwszymi filmami. Myśmymy się zresztą na ten opór z ich strony natykali już wcześniej, kiedy spotykaliśmy

się z nimi jako ze studentami szkoły filmowej. Ich filmy sięgają w zupełnie inne rejony, widział pan ich pierwsze filmy? Te nakręcone w ramach Studia. im. Munka? — „W wannie”, „Książę”, „Lęk przestrzeni”...

M. D.: — A pan co na to?

F. F.: — Nic.

M. D.: — Widziałem te filmy; nie wydaje mi się, żeby przedstawiały jakas określoną wyrażoną, nową propozycję.

F. F.: — A jednak to, co przedstawiają, wynika z jakiegoś określonego oporu wobec naszej grupy. Z rozmów, które prowadziliśmy, wynikało, że bardziej interesuje ich forma, niż poszukiwanie prawdy o naszej rzeczywistości. Nie widzę wśród filmów młodych reżyserów takich, które

„Staliśmy się ofiarami tego kina...”

ROZMOWA

Z FELIKSEM FALKIEM

by świadczyły o fascynacji tym, co ich otacza na co dzień. To są raczej ćwiczenia...

M. D.: — Myślę pan, że na taki, a nie inny stosunek najmłodszych filmowców wobec was, „młodych”, mogły mieć wpływ wypowiedzi krytyki, a przynajmniej niektórych jej przedstawicieli, wyraźnie niechętnych „kinu moralnego niepokoju”?

F. F.: — Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie. Natomiast mogę stwierdzić, że od początku uważałem, iż klimat, jaki wokół „kina moralnego niepokoju” stworzyła krytyka, nawet tu przychylna, dzieląc młode polskie kino na nurt „publicystyczny” i „kreatywny”, powiedziałabym nawet: forsując nurt „kreatywny”, nie jest ani zdrowy, ani...

M. D.: — Ależ w czasie ostatniego festiwalu filmów fabularnych w Gdańsku okazało się, że zarówno Filip Bajon z „Wahadkiem”, jak i Wojciech Marczewski z „Dreszczami” srodcie zawiedli tych wszystkich, którzy chcieli widzieć w nich „kreatywnistów” oderwanych od współczesnych problemów?

F. F.: — To tylko, oczywiście, świadczy, że podziały na grupy były sprawą poronioną. Ze każdego reżysera musi się oceniać indywidualnie. Bo każdy następny film reżysera może być zupełnie inny od poprzedniego. Ja na przykład nigdy nie uważałem „Wodzireja”, ani w ogóle żadnego z moich filmów, za coś „publicystycznego”. Oczywiście, krytyk ma prawo do snucia swoich rozważań, do wyciągania własnych wniosków i do szukania paraleli między różnymi dziełami i ich twórcami. Ale, powtórzę raz jeszcze, przed kilku laty nikt z nas nie zastanawiał się, czy tworzymy jakąś „tezę”, czy to będzie lub jest — kino „publicystyczne”, czy też może „kreatywnie”; każdy chciał po prostu opowiedzieć jakąś swoją historię.

M. D.: — Czy uważa pan, że grupa waszych filmów, że „kino moralnego niepokoju” miało wpływ na rozwój polskiego kina? Czy ono popchnęło do przodu kino polskie? Czy nadal mu rozpedu?

F. F.: — Na to pytanie także trudno mi odpowiedzieć. Ono było samo w sobie. Nie stworzyłem swoich następców. Jak na przykład „kino czeskie”, gdzie była cała plejada filmów, w których się odcisnęła poetyka Formanowska... Na nas się „zawiedziono”. Nie ma kontynuacji „kina moralnego niepokoju”. Czy nie zauważa pan pewnego paradoksu: nasza krytyka stworzyła pewną „szkołę” i... zaraz ją zablokowała? Mówiąc inaczej: krytyka udusiła, zaraz po urodzeniu, swoje własne dziecko. Zresztą uważam, że te same filmy, które zrobiliśmy w ostatnich latach, zrobilibyśmy i bez „grupy”. A ponadto ja nie lubię tych wszystkich rozważań. Zrobilem kilka tam takich filmów, może nagle zrobię zupełnie coś innego i wyłamie się z konwencji, w którą usiłuje się mnie wpisać? Wie pan, ja wciąż pamiętam, i chcę pamiętać, że kino to światło, dźwięk i ruch...

M. D.: — To dlatego nakręcił pan ostatnio film o początkach polskiego jazzu?

F. F.: — Po „Szansie” stanąłem wobec problemu: co dalej? Tematyka, konwencja „kina moralnego niepokoju” przestały mnie interesować. Zawsze uważałem, że lata pięćdziesiąte są kopalnią tematów, kopalnią prawie zupełnie nie tkniętą. Z drugiej strony: od dawna chciałem zrobić film o jazzmanach. I nagle to obydwu tematy nałożyły się na siebie. Napisałem scenariusz do „Był jazz”. Napisałem zresztą także drugi scenariusz, sięgający do lat pięćdziesiątych: „Wielki bieg”.

Realizuje go Jerzy Domaradzki, film jest już na ukończeniu...

M. D.: — Chcąc nie chcąc, znowu pan wchodzi w obręb pewnego nurtu polskiego kina: powstała ostatnio cała grupa filmów sięgających, czy to bezpośrednio, czy w sposób pośredni, do problemów połowy lat pięćdziesiątych i szukających w tamtym okresie odpowiedzi na wyłuzanie nasze dzisiejszych problemów. Bajon, Marczewski, pan, Domaradzki... Także chyba Kiesłowski sięga w kręconym właśnie filmie do tamtego okresu.

F. F.: — Każdy jednak z nas podchodzi do tego w sposób, jak mi się wydaje, bardzo indywidualny. O latach pięćdziesiątych można mówić w nieskończoność. To był czas wielkich wyborów, określenia się. Konsekwencje tych określeń się noszą często wielkie tragedie. Siegając do tamtego okresu, można mówić o odkształceniach, o deformacjach, ale też właśnie z tego powodu, tym więcej



Fot. W. Stępień

można powiedzieć o ludziach wówczas żyjących, o człowieku w ogóle.

M. D.: — Lata pięćdziesiąte to dzisiaj także już swoista „egzotyka”. Szczególnie dla współczesnego młodego pokolenia.

F. F.: — Oczywiście. A także, ponieważ istnieje wielka luka informacyjna co do tamtego okresu, swoisty mit. Ten okres został wręcz zmitologizowany w świadomości dzisiejszej młodzieży. Tym trudniej dokopać się, dopracować się prawdy zupełnie obiektywnej o tamtych czasach. „Był jazz” starałem się zrobić z pozycji „ludzi nieświadomych”. Ktoś, kto nie był wówczas ofiarą czystek czy manipulacji (przynajmniej w sposób bezpośredni), czy też prześladowań, nie odczuwał może tak silnie tego wszystkiego, co się wokół działo, tych wszystkich zagrożeń. Bohaterowie mojego filmu, ci młodzi ludzie, studenci, miłośnicy jazzu, ci „Melomani” wpisani w sposób dość naturalny w otaczającą ich rzeczywistość, działają trochę nieświadomie. Podoba im się jazz, więc próbują go grać. Zaczynają nabierać świadomości dopiero wraz z nieuchronnym zekniczeniem się z realiami tamtego okresu, z ludźmi, wśród których żyją, i ich problemami.

M. D.: — Może to ich początkowa nieświadomość, w którą się tak w sposób oczywisty wtopili, to było największe niebezpieczeństwo czyhające na tamte pokolenie? Dla mnie na przykład ta właśnie sprawa wybiła się w sposób najbardziej przejmujący w filmie „Był jazz”. A jeżeli już jesteśmy przy temacie „jazzowym”: czy historia, którą pan zawarł w swoim filmie, to istotnie dzieje powstania zespołu „Melomani”?

F. F.: — No, nie. „Prawdziwe” są tylko niektóre fragmenty czy wątki. Cała opowieść jest wymyślona. Natomiast pewne elementy osobowości poszczególnych członków autentycznego zespołu „Melomani” przenikają się z osobowościami bohaterów filmu. Można się tam doszukać jakichś podobieństw np. do Komedy, można by dostrzec wśród „fanów” pokazywanego w filmie zespołu — Skolimowski czy Polańskiego, którzy właśnie towarzyszyli „Melomanom”. Pojawiają się też w filmie postaci autentyczne, jak „Duduś” Matuszkiewicz i inni członkowie dawnego zespołu: zapalają świeczkę na grobie jednego z filmowych bohaterów. Ale może, tak naprawę, jest to świeczka zapalona Krzysztofowi Komedi...?

M. D.: — Kiedy premiera „Był jazz”?

F. F.: — Jeszcze nie wiem. Ale nieoficjalną premierą będzie pokaz tego filmu w czasie listopadowych, tradycyjnych „Zaduszek jazzowych”. Wie pan, myślałem kiedyś o nakręceniu takiego „troytyku” jazzowego: pierwsza część dotyczyłaby okresu „katakumbowego” naszego jazzu, gdy jazz miał za przeciwnika... politykę. I to byłby właśnie film „Był jazz”. Druga część to film o jazzie już okrzepłym, gdy zaczyna on mieć za przeciwnika muzykę „pop”. I trzeci film: o tym, jak polski jazz „zestarzał się”, jak żyją, co robią tamci dawni młodzi chłopcy pełni buntu i bezkompromisowości. Ale nie zrobię tego, nie miałbym chyba na to siły.

M. D.: — To co pan teraz kręci?

F. F.: — Nie mam na razie nic nowego... Na razie się męczę, jak ugryźć tę naszą współczesność. Tak się wszystko zmienia, dzień nie podobny do dnia! Zrobię film o dniu dzisiejszym, a jutro, już ten film będzie wyglądał jakby z przeszłości.

ROZŻARZONY koniec papierosa sparzył mu wargi. Marcin otworzył oczy, rzucił niedopałek i leniwie przydepnął go butem. Ziewnął i spojrzał w okno przedziału. Za oknem przesuwali się monotonny krajobraz. Odmrożone pola, drzewa, lasy, pojedyncze chaty lub całe wsie. Miarowy stukot kół i cisza w przedziale sprawiły, że powieki znowu mu opadły. Już drugi dzień w kraju — myślał — drugi dzień po tylu latach. Jak teraz wygląda Magda? Czy bardzo się postarzała? Czy od razu poznał? Julek ma już osiem lat. Jak przyjmie swojego ojca, którego wcale nie zna? Gdy w trzydziestym dziewiątym żegnał się z nim, nawet mu przez myśl nie przeszło, że na tak długo. Julek — wrzeszczący, mały skrab, który z trudem wymawiał wtedy „tata”. Magda — wilgotne oczy, i ten jej dziwny, spokojny uśmiech. Tyle czasu. Trudno uwierzyć, że to było zaledwie siedem lat temu. A przecież przez te siedem lat przeszedł więcej niż w ciągu ubiegłych lat trzydziestu. Rosja, Persja, Palestyna, Egipt, wrzeszczące Włochy. Ogromny szmat czasu i przestraszenia. Wielka wojna. Magda i Julek z trudnością egzystowali w Warszawie, gdy on rozetrzyty do pasa, w korkowym hełmie bezmyślnie czyścił broń pod gorącym niebem Persji. Wreszcie wróg, na którego tak długo czekali. Wyniosły klasztor Monte Cassino. „Nie dali im rady Hindusi, Nowozelandczycy, Amerykanie, ale my damy, musimy zadokumentować ho-

przeciwko, obok niego usiadł oficer. Marcin przyglądał się z zainteresowaniem.

— Z Niemiec? — zapytał.

— Tak. Powojowaliśmy i ... do domu — odpowiedział z uśmiechem oficer.

— Ja również.

— Wy? Skąd? — zdziwił się porucznik.

— Z polskiej armii Andersa. Monte Cassino — dodał wyjaśniając. Żołnierze nie bardzo rozumieeli, ale oficer zrozumiiał.

— Monte Cassino. Tak. Duże słowa. Ale Anders... — tu skrzywił się. Marcinowi zrobiło się naraz bardzo nieprzyjemnie. Po cholerycznym pchnięciu się z tym Anderssem. Niech to szlag — kiął w duchu. Na szczęście radziecki oficer nie wrócił do tego tematu. Jeden z żołnierzy wyciągnął wymiętoszoną paczkę papierosów i zaczął częstować kolegów.

— Może „camel”? — Marcin podsunął paczkę żołnierzm. Poczłował się tylko oficer. Tamci zapalili swoje. Teraz dopiero zauważyli, że Marcin nie ma dłoni. Na chwilę spoważnieł.

— To po Monte Cassino? — zapytał oficer.

— Tak. — Marcin schował z powrotem ręka do kieszeni marynarki. Porucznik uśmiechnął się lekko.

— Ja byłem dwukrotnie ranny. Dużo przeszliśmy przez tę wojnę.

POWRÓT

Tadeusz Wiącek

nor polskiego żołnierza” — słowa kapitana Tudreja zadźwięczały mu znowu wyraźnie w uszach. Ten honor kosztował go utratę lewej dłoni. Potem polski sztandar na murach klasztoru, ży wzruszenia, odznaczenie, nominacja. Nominacja wcale już nie przydatna. Pod murami klasztoru zostawił swego najlepszego przyjaciela. Tadek Bra-szczyńskiego, i wesołego Wacka Plicha, długonosego Bronka z Torunia, dziecięcego Jacka Turonia. Potem koniec wojny. Radość i niepewność. Jeszcze rok w armii, nikomu już niepotrzebnej. Długie, nie kończące się dysputy i niewiadoma jutro. Wreszcie, kilkanaście dni temu, rozstanie z mundurem. Wybór — Polska komunistyczna czy Anglia? Nie wahał się wcale. Polska to Julek, Magda, matka i swój. Pamiętał słowa majora: „Poruczniku Karecki, radzę wam się jeszcze namyśleć, ta ich dzisiejsza Polska to nie wasza ojczyzna, którą zostawiliście we wrzesniu”. Nie wierzył ani jednemu słowu. Polska to Polska. Nie rozumiał tych, co wybrali obozy w Anglii. Później zdanie munduru i lustro, w którym zobaczył siebie w przyciasnym szarym garniturze z angielskiej wlny. Pożegnanie z kolegami i następnego dnia ogromny ból głowy po przepiciu. Potem wiele formalności, bezsenne noce i długa męcząca podróż. Wczoraj już był w Polsce.

Dziwna ta Polska z doskonałymi drogami i muryowanymi domami wiejskimi. Ziemie odzyskane. Jak najszybciej chciał pozbyć się tego widoku z za okien przedziału. Czekał na Polskę, którą zostawił. Spojrzał na zegarek. Druga. O dziesiątej wieczorem będzie w Kielcach. Z jego mieszkania w Warszawie nie zostało chyba ani śladu. Dobrze, że Magda i Julek znaleźli schronienie w Kielcach.

Kielce. Co to za miasto? Przed wojną kilkakrotnie przejeżdżał przez nie, jadąc do Krakowa. Czy będzie tam nadal mieszkać? Chyba tak, bo gdzie? Żeby tylko dostać pracę. Na szczęście utrata lewej dłoni nie ma wpływu na jego zajęcie. Fachowiec zawsze znajdzie pracę — pocieszył się. Praca w Polsce. Bolszewickiej Polsce. Jaka właściwie jest teraz Polska? Robotników i chłopów. To dla mnie nie ma miejsca — uśmiechnął się do siebie. Chciało mu się palić. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalniczkę. Z lubością zaciągnął się „camel”. Magda, Julek — to już dziś. Miał ochotę roześmiać się na cały głos z radości. — Nareszcie. Dzisiaj nie będzie z nimi długo rozmawiał. Przywitanie, rozmowa przy kolacji i potem spać, spać, spać. Był potwornie zmęczony. Matkę odwiedził później. Przede wszystkim praca. Tylko czy ją dostane?

W korytarzu wagonu zadudniły kroki i czyjeś niezrozumiałe głosy. Drzwi od przedziału otworzyły się i zobaczył uśmiechniętą twarz w czapce z czerwoną zwiastką.

— Tu ciepło — powiedział Rosjanin, odwracając się do swoich towarzyszy. Drzwi rozsunięły się na całą szerokość. Do przedziału weszło czterech żołnierzy radzieckich. Jeden z nich był porucznikiem.

— A myśmy tam tak długo marzili — rzekł któryś z nich. Marcin nie miał trudności w zrozumieniu tych słów. Jego rodzice mówili bardzo dobrze po rosyjsku. On próbował nawet czytać Tolstoja w oryginale. Trzech żołnierzy zajęło ławkę na-

— Na szczęście jakoś się przeżyło — odwzajemnił się uśmiechem Marcin.

Przez następne kilka minut w przedziale panowała cisza. Unosiły się kłęby dymu. Za oknem zapadał zmierzch. Jeden z żołnierzy zwiesił głowę i drzemał. Oficer sięgnął ręką do kieszeni płaszcza i wyciągnął zawinięty w papier pakunek. W środku znajdowały się jajka, kiełbasa i pokrojony chleb. Marcin poczuł głód. W południe zjadł ostatnią kanapkę. Radziecki porucznik poczęstował Marcina. Ten nie odmówił i za chwilę obaj zaczęli jeść. Dwaj żołnierze również przypomnieli sobie o jedzeniu i wyciągnęli ogromne pajdy chleba. Jeden z nich szturemiał drugiego porozumiewawczo. Ten odwrócił się i w jego ręku pojawiła się pękata butelka.

— No, rozgrzejmy się — powiedział oficer.

Po chwili znalazły się dwie szklanki. Marcin i porucznik pili z jednej, żołnierze z drugiej, trzeci żołnierz zaczął chrapać. Wódka była mocna i paliła przetyk. Marcin dałby głowę, że to ojczyzna gorzałka. Humory od razu się poprawiły. Porucznik i dwaj żołnierze zanucili jakąś piosenkę. Spiący żołnierz zamamrotał coś o świętym spokoju i nacisnąwszy furazerkę głęboko na uszy, spał dalej. Po pierwszej zwrotce Marcin przyłączył się do nich ze swoim murrurandem. Z początku mu nie szło, ale wkrótce już zupełnie dobrze dawał sobie radę. W przedziale zrobiło się ciemno. Jeden z żołnierzy zapalił latakę i powiesił na drzwiach. Butelka była już pusta. Marcinowi było gorąco. Rozpiął koszulę i rozluźnił krawat. Porucznik uśmiechnął się zagadkowo, zobil oko do Marcina i niespodziewanie wyciągnął skądś drugą butelkę. Marcin klepnął go po przyjacielsku w plecy i nadstawił szklankę...

Otworzył jedno oko. Latakarka nadal słabo oświetlała przedział. Naprzeciwko trzej żołnierze spali przykryci płaszcami. Marcin ocknął się. Obok niego, przytulając się do jego łokcia, spał radziecki oficer. Marcinowi wydawało się, że porucznik jest bardzo niski i szczupły. Przedtem nie zauważył tego. W głowie szumiła. Podniósł się lekko i podsunął porucznikowi swój zwinięty płaszcz pod głowę. Przeciągnął się. Latakarka wisiała nadal na kłamec. Wychodził już na korytarz, ale obejrzał się jeszcze i zobaczył podkulone nogi oficera. Przykrył go szorstkim płaszczem wojskowym. W korytarzu było zimno. Zapalił koszulę i szybko zaciągnął się papierosem. Spojrzał na zegarek. Było dziesięć po siódmej. Zgasił niedopałek i zziębnięty wrócił do przedziału. Usiadł w kącie ławki i zamknął oczy. Za niecałe trzy godziny — Magda, Julek. Już zasypiał, gdy nagle pociąg stanął. Pewnie jakaś stacja — pomyślał. Ale po chwili zamiast turkotu kół usłyszał podniesione głosy za oknem. Co znowu, do cholery? Leniwie podniósł się i wyjrzał przez okno. Widział tylko błąk kilkunasu latarek. Później rozróżnił postacie. Naraz, zupełnie blisko usłyszał głośny krzyk i przekleństwo. Na korytarzu wzmógł się hałas otwieranych drzwi przedziałów. Czyjeś szybkie kroki zatrzymały się przy przedziale Marcina. Drzwi odsunęły się z trzaskiem, latakarka spadła. Marcina oślepił snop światła.

— Co za kawały! — powiedział ostro.

— Stul pysk! — padła odpowiedź.

Marcin nie wierzył własnym oczom. W drzwiach przedziału stał wysoki mężczyzna w kołuszku bez rękawów, wojskowej czapce rogatywce i z prze-

wieszonym przez ramię karabinem maszynowym. Światło latakarki skierował na budzących się, zaspanych żołnierzy.

— Bolszewickie sukiny — wycisnął przez zęby.

Odwrócił się i krzyknął:

— „Długi”, „Tarzan”, chłopaki biegiem tutaj! Radziecki oficer stanął, chwytając się i przecierając oczy. Zobaczył wojskową czapkę i objawiający się stojącego w drzwiach człowieka, wspiął się na palce i starał się emoknąć go w policzek. Ten cofnął się o krok i uderzył go w głowę kantonem latakarki. Porucznik zoczył się i byłby upadł, gdyby Marcin nie złapał go w ostatniej chwili za ramię i przytrzymał. Żołnierze jakby momentalnie się ocknęli. Cofnęli w głąb przedziału nie bardzo rozumieeli, co się stało. Dryblas wymierzył w nich lufę karabinu.

— Ruki wierz, swołocze! — krzyknął.

Obok niego pojawiły się inne sylwetki, z zaciękanieniem zagładając do wnętrza. Marcin próbował zebrać myśli, ale nadal nic nie rozumiał. Porucznik siadł na ławce i trzymał się za głowę.

— Wychodzić! — rozkazał stojący w drzwiach drab.

Żołnierze, trzymając ręce w górę, wychodzili pojedynczo, uśmiechając się niepewnie. Skinienie karabinem oznaczało, że porucznik i Marcin powinni się pośpieszyć. Marcin chciał złożyć płaszcz, ale pchnięto go w plecy lufą karabinu. Wziął więc pod rękę oficera, który w dalszym ciągu trzymał dlonie na czole i nie wiedział, co z sobą zrobić. Zeskoczyli ze stopni wagonu w śnieg. Ciemność rozpraszała kilkadziesiąt latarek. W ich świetle widać było kilku rozespianych mężczyzn z niedopiętych płaszcach. Żołnierze radzieccy stali z boku. Ręce założyli na karki. Marcin, podtrzymując porucznika, dołączył do nich. Z mroku wysunęła się postać w czapce rogatywce z ukoronowanym orzełkiem. Pociąg stał i nie słychać było stamtąd żadnego ludzkiego głosu. Osobnik w rogatywce zaczął mówić:

— Żołnierze. W dzisiejszej akcji udało nam się schwycić czterech zdrajców narodu polskiego. Znaleziono legitymacje PPR są tego dowodem. Dla zdrajców mamy jeden wyrok — śmierć.

Skończył i cofnął się w stronę latarek. Czterech mężczyzn zachowywało się tak, jakby to nie o nich mówiono. Opatulali się szczególnie w płaszcze. Jednemu z nich spadły okulary. Schylił się i szukał ich w śniegu. W obrębie światła pojawiły się teraz sylwetki kilku ludzi w beretach i furazerkach, z karabinami w rękach. Zatrzymali się w odległości kilku metrów od czwórki mężczyzn z pociągu. Wymierzyli karabiny. Suchy trzask wystrzałów i na śniegu leżały cztery cienie. Jeden z nich trzymał kurezowo w ręku okulary. Marcin otworzył szeroko oczy i zupełnie oprzytomniał.

— Co się tu dzieje! — krzyknął i przestraszył się własnego głosu. Ten dryblas w rogatywce znowu zaczął mówić:

— Zdolaliśmy zatrzymać także czterech żołnierzy bolszewickich. Najęźdźców, którzy zawiadnęli naszym krajem. Najęźdźcom śmierć!

Ci sami ludzie, którzy zastrzelili poprzednie czterech mężczyzn, zbliżyli się do żołnierzy radzieckich i Marcina. Ten zauważył teraz, że są to ludzie młodzi. Niektórzy z nich uśmiechali się szyderczo, jeden miał papierosa w kąćku ust. Właśnie on podszedł do Marcina i porucznika. Złapał tego ostatniego za kołnierz i pchnął w stronę żołnierzy. Porucznik zatoczył się, ale nie oderwał rąk od twarzy.

— A ty co za jeden? — zapytał człowiek z papierosem.

— Co to znaczy? Kto wy jesteście? — pytał Marcin, rozglądając się niepewnie. Drab splunął. Podszedł do Marcina i zaczął go rewidować.

— Gdzie dokumenty? — spytał.

— W płaszczu, w pociągu — odpowiedział Marcin.

— PPR-owiec?

— Nie.

Cofnął się i rzucił tamtym:

— No, chłopcy, kończyć bolszewików, ale rat dwa!

Huk strzałów ział się z krzykiem Marcina. Żołnierze padali ciężko na śnieg. Porucznik leżał z rękami przycisniętymi do twarzy. Marcin nie bardzo wiedział, co robi. Biegł po śniegu w stronę ludzi z karabinami i krzyczał.

— Bandyt! Szeczeniaki! Za coo!

Ci ostatni odwrócili się i szybko odchodził w stronę błysku latarek. Te pomalu gasły i Marcin widział odchodzące w ciemność sylwetki. Nagle zauważył człowieka w rogatywce i pobiegł w jego kierunku. Ten odwrócił się. W ręku błysnął pistolet. Marcin zatrzymał się.

— „Mł”, do mnie — krzyknął bandyta w kołuszku.

Z mroku wynurzył się piętnastoletni chłopak. Bandyta podał mu pistolet.

— Musisz kłedy zacząć. No, rozwał tego przyjaciela bolszewików.

Chłopak trzymał pistolet lufą do ziemi i patrzył na Marcina. Ten poczuł nagłe, że jest cały spoczony i potwornie zziębnięty. Postawił kołnierz marynarki i spokojnym, zalamującym się głosem powiedział:

— Panowie, nie mówię tego poważnie.

Odwrócił się powoli i ruszył w stronę wagonów. Ni stąd, ni z owąd przed oczyma stanęła mu Magda i Julek w dniu pożegnania. Raptem poczuł lód w kregosłupie. Obejrzał się. Bandyta w rogatywce stał z rękami w kieszeniach. Obok niego piętnastoletni chłopak stał rozkończony i trzymał lufę pistoletu na wysokości piersi Marcina.

— Panow...!

Jeszcze przez moment czuł zlodowaciały śnieg na twarzy.

Wiersze Gleba Gorbowskiego

w tłumaczeniu Andrzeja Bienia

OSIOŁEK NA PROSPEKCIE NEWSKIM

Rudy osiołek z cyrku rodem
przemierza co dzień rojną trasę.
Zaprasza, by do niego podejść,
ciągnie za sobą wózek — kasę.
Osiołek grzeszny jest i skromny,
obce mu figle bałamutne:
kamienne miasto tak ogromne,
a w środku osioł — truchę smutny.
... w wieloachnych uszu ma...
Oddany sztuce — tak jak ja.



Rys. A. Kol

Siedzę za ramą okienną
i nie chce mi się
poruszyć...
Urodziła mnie
mama po prostu,
a przecież ptakiem
czuję się w duszy

A jeżeli stamtąd nie wrócę
między nami mówiąc, tylko ja i ty)
zamień, miła, swoją rozpacz na smutek,
albo lepiej — smutek zamień w sny.
Chciałbym zjawiać się zawsze młody,
silny, brodaty, śpiewający
nieznajomym barytonem gorącym,
słowem człowiek — na północy żyjący.
Całkiem tak, jakbym w rzece nie tonął
i nie spadał, rozplaszczony w szczelinę,
jakbym się położył po prostu,
albo może upił się winem.
Właśnie wstałem... W krąg oprawić się dam.
Idę w blasku zorzy polarnej...
Sam.

Tylko projekty.
I tylko zamki na łodzi,
a każdej wiosny
nadzieję zarasta sad.
Czy to przystoi poecie
sonety mamlac i mlaskać
kiedy, już przerdziało
szesćdziesiąt lat?
Trzeba by zaraz!
Przed dworkiem, przed odjazdem,
wyszczyć wszystkie soki,
zrozumieć ziemię starą.
Tylko dla pięknych i silnych
jest w poezji miejsce,
tylko ci, z krwią gorącą rozgrzewali chłodnych:
do czerwonego żaru!
A ja — kaleczę, tnę siebie,
torturuję
i powoli przepadam.
Ustępuję...

Bezdomnemu koniowi nie chciało się zdechnąć:
odżywał się w śmietniku... Niby mógł oddechnąć,
lecz przychodził codziennie pod ganek sklepowy,
pysk mu obwisł, wargi miał chyba gumowe
i drzemka nakrywała mu oczy jak mgła.
Zdarzało się, że piernik ktoś mu czasem dał,
a bywało i gorzej: do zwiędłego nosa
przystawiano gorący ognek papierosa.
...W robotniczym osiedlu ludzie pracowali,
smucili się, a czasem namiętnie kochali,
miewali swoje grupy, chwile nierozwagi,
na konia nikt po prostu nie zwracał uwagi.
Zwykle w rowie śmietnika, rankiem, za osiedlem,
stare psy otaczały konia zwartym kręgiem.
Spokojne stare psiska. Nie gryzły, bez wycia,
dzielili z chudym koniem drobne chwile życia.
I był to śmieszny widok, i dziwny, i trwożny:
ranek ponad osiedlem unosił się mroźny
i ujrzeć można było jak we mgle światła
wlokła się gdzieś przed siebie cała ta kompania...

Nie rozwiną się kwiaty przed czasem,
Nie się nie stanie...
a gigantyczny piorun
nie trzaśnie w serce ziemi, wcale nie.
Nie obudzi się król
w pomarańczowym Królestwie Maroka,
nie przypelznie na brzuchu stalowym
żaden okręt pod okno we śnie.
Pociąg będzie się utókał
z Iwanowa o słońca zachodzie,
telegramy popłyną
po przewodach wiszących we mgle;
no i nic się nie stanie,
z tym co umie nikomu nie szkodzić,
jaskrawej zorzy dym
mimo wszystko pojawi się w ile...
Nie będzie ronić też
marmurowa piękność w ogrodzie,
nie powróci Szalopin
do Rosji z dalekich swych tras,
nie uniesie się wzwyż
popiół smutku ze wspomnień palenisk,
jeśli któreś z nas kochać przestanie...
Któreś z nas.
Nic się nie zdarzy!
Miłość przecież — żywym jest niepokojem:
nad rzeką się rozstało,
nad jeziorem spotkało
tych dwoje!

Czy państwo pamiętają
ten czarny samochód
z księdzem i młodą zakonnicą
tę czarną wołgę
z zachodnoniemiecką rejestracją

Który to był rok pani Mario
który to był rok ciociu Wanda
A może pani z kiosku* gdzie kupowałem
gazety pamięta kiedy to było Nie
pani nie mogę zapytać Przepraszam
pani już nie żyje
Nie wiedziałem
zapomniałem

Ksiądz był miły Zakonnica młoda
i ładna czarna wołga
płynęła po szosach wszystkich
województw tak szybko
że nikt jej nie widział

A jednak A jednak młode dziewczyny
czekające na przystankach autobusowych
uciekaly na widok każdego
zwalniającego samochodu
Młodsi mężczyźni zatrzymywali
tylko ciężarówkę
Wszyscy uprzejmi i uczynni

a nieznajomi
budzili powszechną nieufność

Oto możesz przyjąć czyjaś pomoc
i znajdą cię gdzieś na poboczu
bez kropli krwi Twoja krew
opuści twoje żyły i ojczyznę**

Milczenie mass mediów
nie było argumentem
Gdy po kilku tygodniach
felietonisci zaczęli szydzić
z ciemnogrodu
ludzie ich wywoły

przyjmowali z rezerwą***
W naszej historii nie brak
białych plam Ale
interesują mnie również czarna
plama tej wołgi która kiedyś
przemknęła przez nasz krajobraz

Białe plamy się wypełnią
Czerwone zabliznią pomnikami
Być może już za późno
by spodziewać się odpowiedzi

Lecz równocześnie
mam pewną hipotezę

która wydaje mi się
coraz bardziej prawdopodobna
gdy nie licząc na odzew
lecz aby w zgodzie być z sumieniem
wołam Autor! Autor!

* Zastępowała ją czasami siostra;
były podobne, dziś nie wiem, u której
kupilem pierwszy raz Nową Kulturę;
i ona też się w zaświaty przeniosła.
Na Partyzantów kiosk ten ciągle stoi,
lecz już od dawna nie jest kioskiem moim.

** Za wołgą tą jechała pono
— tak twierdził ten, co dawał wiare
plotce — karetka, gdzie ofiarę
z krwi odsączano, wpięrow zgluszoną.
Potem w zbiornikach na benzynę
krew przewożono przez granicę;
ktos miał dolary, a w klinice
bank krwi na czarną puchł godzinę.
*** Dementi bywa potwierdzeniem;
tak ich uczyło doświadczenie.

LEGIONY TO ...

Dokończenie ze str. 1

Legiony sformowane w zaborze austriackim, ilościowo nigdy nader silne, urosły do roli głównego nurtu walki niepodległościowej o Polskę. Głównie dlatego, że ich ideowy twórca, Józef Piłsudski, odegrał tak istotną rolę w późniejszych latach okresu międzywojennego. Niewątpliwie, rola Piłsudskiego w Legionach była doniosła. Już w 1912 roku, gdy na wieść o wybuchu wojny bułgarskiej zaczęto wierzyć w szybki konflikt zbrojny pomiędzy Austro-Węgrami i Rosją, w Galicji powstała Tymczasowa Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Utworzono wówczas przy niej Komendę Główną Polskich Sił Wojskowych, a funkcję komendanta powierzono Józefowi Piłsudskiemu. On również z 1 kompanią kadrową Legionów wkroczył na teren Królestwa Polskiego w sierpniu 1914 roku, wyprzedzając nawet wojska austriackie. Był później komendantem I brygady Legionów, lecz już po 1915 roku Legiony stały się dla niego bardziej atutem w przetargach politycznych z niemieckimi władzami okupacyjnymi, niż realnym, bezpośrednim czynnikiem walki zbrojnej.

W pierwszym okresie wojny trzy brygady legionowe toczyły swe boje na często odległych od siebie frontach, podlegały też różnym brygadierom naznaczonym przez Naczelną Komendę Austriacką. Organizatorem natomiast strony militarnej, zaopatrzenia wojskowego, wzbudku dla Legionów niemal od początku wybuchu wojny był dyrektor Departamentu Wojskowego Naczelnygo Komitetu

Narodowego, płk inż. Władysław Sikorski. Wydaje się, że w badaniach historycznych tego okresu dziejów należy baczenie wyważyć rolę, jaką w tworzeniu polskich sił zbrojnych odegrał właśnie Sikorski w porównaniu z Piłsudskiem.

Naczelny Komitet Narodowy, który z początku wojny wyłonił się z Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, uchronił wprowadzone już do walki drużyny strzeleckie Piłsudskiego przed wcieleniem ich do armii austriackiej. Sikorski jako szef Departamentu Wojskowego był głównym organizatorem wzbudku i zaopatrzenia walczącej na terenie Królestwa I brygady, i na terenie Bukowiny i Besarabii — II brygady Legionów. Od 1916 roku organizuje on biura wzbudkowe na terenie Królestwa: w Piotrkowie Trybunalskim dla obszaru okupacji niemieckiej i w Lublinie dla obszaru okupacji austriackiej. Gdy z Departamentu Wojskowego został nieco później wydzielony Krajowy Inspektorat Zaciągu do Wojska Polskiego, również jego szefem zostaje płk. Sikorski. Gdy wreszcie nadszedł okres kryzysu przysięgowego w lipcu 1917 roku i naklonieni przez piłsudczyków legionисти odmówili złożenia przysięgi na wierność cesarzom Austrii i Niemiec — to jeszcze wówczas Sikorski resztki zdeorganizowanych Legionów stara się skłaniać i reorganizować w oparciu o uznawane przez Austriaków Dowództwo Uzupelnień Polskiego Korpusu Posiłkowego stacjonujące w Przemyślu.

Wydaje się, że Sikorskiego w tym okresie znacznie mniej absorbują spekulacje polityczne, natomiast całą energię swych sił życiowych koncentruje wokół idei tworzenia wojska polskiego, którego rola w walce o niepodległość Polski wydawała mu

Sprawa Armii Polskiej ⁽¹⁾

Dokończenie ze str. 1

Warto średnio po wybuchu wojny przeprowadzona mobilizacja oddziałów strzeleckich natrafiała już z powodu zawieszenia ruchu kolejowego na ogromne trudności. I tak jednak już 6 sierpnia 1914 roku przed patrolami armii austriacko-węgierskiej wkroczyły pierwsze oddziały strzeleckie na teren Królestwa.

Władze wojskowe austriackie zajęły wbrew oczekiwaniom stanowisko raczej nieprzyjazne dla rozpoczętego ruchu. Pierwsze oddziały skierowano z rozkazu austriackiego sztabu generalnego w stronę Olsza w okolicy słabo zaludnionej i nieuświadomioną narodowo. Odwrócenie tego ruchu od zagłębia węglowego w południowej części Królestwa, gdzie się znajdowało około 100 000 bardziej od włośności uswiadomionego robotnika, wskazuje na tendencję i krępowanie ruchu powstańczego w Polsce.

Zachodziła w tym wypadku duża niekonsekwencja: z jednej strony panowało w kołach wojskowych i rządzących państw centralnych zdziwienie, że powstanie polskie przeciw Rosji do skutku nie dojdzie, a z drugiej strony czyniono wszystko, by wszelki ruch niepodległościowy uniemożliwić.

W tych warunkach pierwsze oddziały strzeleckie, odziane i uzbrojone lichu, rzucono w linie pierwszych kawaleryjskich patroli wywiadowczych, a liczebnie słabe nie mogły spełnić ani politycznego, ani wojskowego zadania. Nie poruszyły mas ludowych, gdyż ich inicjatywa, prawie że zwalczana przez państwa centralne, nie mogła budzić zaufania w społeczeństwie.

Partyzanckie oddziały polskie mogły przy stosownym poparciu uniemożliwić i rozbić doszczętnie mobilizację rosyjską na całym obszarze leżącym na lewym brzegu Wisły. Dokonały tego tylko na przestrzeni kilkunastu powiatów. Politycznie nie zabezpieczone, zdane na łaskę i niełaskę pojedynczych dowódców wojsk austriacko-węgierskich i niemieckich bardzo szybko znalazły się w sytuacji bez wyjścia.

Dnia 14 sierpnia, a więc już w osiem dni po przekroczeniu granicy, zażądano ze strony austriacko-węgierskiej od komendanta tych oddziałów

Piłsudskiego, albo rozwiązania ich, albo wcielenia do oddziałów austriacko-węgierskich. Z tej przykrych sytuacji wyratowała ruch partyzancki podejmowany na terenie Królestwa — Galicja.

Dnia 16 sierpnia zawiązał się w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy, złożony z wybitnych przedstawicieli wszystkich partii politycznych, który stał się politycznym wykładnikiem zbrojnego ruchu polskiego. W odezwie z tegoż dnia powołał on młodzież polską pod broń i wezwał ludność do składania ofiar na rzecz wojska. Równocześnie wszczął układy z rządem austriacko-węgierskim o prawny charakter tworzonego Legionów Polskich. Główne punkty umowy z rządem były następujące:

1. Legiony Polskie tworzą odrębną jednostkę wojskową, powstałą na czas wojny do walki z Rosją na ziemiach polskich;
2. Język służbowy jest polski, odrębne umundurowanie jest im przyznane;
3. Legiony są częścią składową armii austriacko-węgierskiej. Jako takie składają przysięgę obowiążącą formację obrony krajowej;
4. Na czele Legionów ustanawia się c. i k. ¹⁾ Komendę Legionów, naznaczoną przez naczelną Komendę Armii;
5. Legiony otrzymują broń i rynsztunek od Komendy Armii, a od chwili wymarszu w pole przechodzą na jej etat.

Liczbę ochotników oznaczono na 32 000 obu Legionów: zachodnio- i wschodnio-galicyjskiego, wkrótce jednak zmniejszono tę liczbę do 16 000. Umowa ta zawierała cały szereg błędów zasadniczych, narzuconych organizatorem Legionów przez austriackie N. K. A. ²⁾, które w późniejszym czasie zmściły się na rozwoju całej inicjatywy. N. K. A. zachowywała się do niej nieufnie, a w każdym razie bez zrozumienia międzynarodowej wartości polskiego ruchu zbrojnego dla racjonalnie pojętej austriackiej racji stanu.

Legiony stanowiły dla N. K. A. nie wykładnik polskiego ruchu antyrosyjskiego, a więc ruchu niepodległościowego w Polsce, zdolnego poruszyć kraj cały do walki z odwiecznym wrogiem Rosją ³⁾, lecz jeden z objawów dobrowolnych świadczeń na rzecz państwa i wojny, niesionych przez lojalnych poddanych austriackich lub ich przyjaciół z Królestwa Polskiego. Stąd płynęło umieszczenie Legionów na liście ochotniczych formacji austriackich oraz dążność do stworzenia możliwie największej ilości tych formacji, mających nieraz sztućne podstawy. Ze Legiony nie zginęły w powodzi wolnych strzelców ukraińskich, że nie

się decydująca. Warto też zwrócić uwagę na to, że rzeczywistość legionowa była tak zróżnicowana, iż wielu słujących w tych formacjach ludzi, będąc legionistami, mogło nie być piłsudczykami, lecz może właśnie „sikorszczykami”.

Do tej grupy legionistów niewątpliwie należał mój ojciec Stanisław Rostworowski. Urodzony w 1888 roku w Krakowie, przed wybuchem wojny ukończył studia we Fryburgu Szwajcarskim, a podwójny doktorat z chemii rolniczej i filozofii ustrukturyfikował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Krótko pracował w Zakładzie Doświadczalnym UJ w Mydlnikach. Gdy tylko rozpoczęły się działania wojenne, zgłosił się ochotniczo do Legionów i został skierowany do II brygady, walczącej w rejonie Karpat, Małopolski Wschodniej, a następnie na Bukowinie. Jako ulan 2-ego szwadronu był uczestnikiem bitew pod Czulowem, Mołotkowem i brał udział w bocznych patrolach podczas szarży pod Rokietną. Po ogromnie wyczerpującej kampanii z lat 1914—15 znalazł się w szpitalu polowym. Płk. Sikorski, odwiedzając ten szpital, zawiązał rekonwalescenta do pracy w Departamencie Wojskowym w Piotrkowie Trybunalskim. Rostworowski pełnił tu funkcje szefa sekcji regulaminowej oraz kierownika referatu wydawnictw. Gdy Niemcy zgrozdzi się na powstanie Krajowego Inspektoratu Zaciągu, por. Rostworowski otrzymał przydział do Warszawy z funkcją adiutanta sztabu. W okresie kryzysu przysięgowego z lipca 1917 roku przebywał w utworzonym dopiero Obozie Cioczeń w Zambrowie. Z tego okresu zachowało się po Stanisławie Rostworowskim wiele cennych dokumentów, m. in. duży tekst pt. „Sprawa Armii Polskiej”, który charakteryzuje złożone okoliczności i trudności towarzyszące tworzeniu zrzębów wojska polskiego pod zaborem władzą Austrii i Niemiec. Jest to dokument kładący nacisk na stronę organizacyjną, wyrażający pryncypialnym odpowiadający kierunkowi działań płk. Sikorskiego. Dokument ten musiał powstać gdzieś w maju 1917 roku, przed lipcowym kryzysem przysięgowym i momentem ustąpienia Tymczasowej Rady Stanu, co miało miejsce w sierpniu tego samego roku. Lektura tekstu nie daje w naszym odczuciu zbliżającego się kryzysu i faktu, że już w perspektywie może dwóch miesięcy Legiony zostaną niemal rozbite pod naciskiem orientacji politycznej, inspirowanej przez J. Piłsudskiego. W tym rozległym, pisanym w samym toku dokonujących

zeszły do roli band rumuńskich-bukowińskich, że nie upodobniły się jedynie do druzyn dalmatyńskich, kroackich itd., świadczy to już najkorzystniej o właściwym znaczeniu całego ruchu.

W każdym razie N. K. A. i Ministerstwo wojskowe robiły wszystko, by ruch ten utrudnić, by rozwój jego wtoczył w ramy dobrowolnych formacji austriackich. Stąd płynęły na wstępie całego ruchu takie ograniczenia, jak nakaz noszenia czarno-żółtych opasek (na skutek odnośnych starań i niewykonania ich ze strony wojska później usunięte), jak zaliczenie Legionów do formacji lanszturmowych, brak zgody na jakąkolwiek poprawkę w treści przysięgi, odmówienie żołnierzom i oficerom legionowym równych praw z żołnierzami i oficerami armii, do której formalnie należeli, jak i cały szereg dalej wymienionych ograniczeń — wszystko to stworzyło niesłychanie trudną podstawę organizacyjną, pozbawiło ją siły przyciągającej na ich właściwym terenie przyszłego rozwoju w Królestwie Polskim, a na terenie Galicji prowadziło do rozwiązania dużymi wysiłkami i ofiarami wystawionego 8-tysięcznego Legionu Wschodniego.

Pomimo tych trudności organizatorowie Legionów nie ustali w pracy nad ich rozbudową, kierując się zasadą stworzenia zawiązku wojska polskiego oraz utrzymania go aż do momentu, w którym Państwo Polskie powołane będzie do życia. Zasada stała w rażącej sprzeczności z programem rządów państw centralnych, który, jak dowiodła półtora roku później ogłoszona mowa kanclerza Rzeszy Bethmanna-Hollwega ⁴⁾, nie obejmował bynajmniej rozwiązania sprawy polskiej. Choć program ten wówczas nie został jeszcze podany do publicznej wiadomości, to jednak postępowanie i rekwizycje władz okupacyjnych, zombardowanie miasta Kalisza przez wojska niemieckie, dały się go łatwo domyślać.

W przeciwstawieniu do tego, odezwa naczelnego wodza Mikołaja Mikołajewicza wyraziła ze strony rosyjskiej program zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara.

Wśród takich warunków odezwa Naczelnygo Komitetu Narodowego wydała i tak nadszpecona rezultaty. Pomimo świeżo przeprowadzonej ogólnej mobilizacji i szybkich postępów wojsk rosyjskich w Galicji, napływ ochotników, wśród których jedną trzecią stanowili ochotnicy z uwolnionych terenów Królestwa Polskiego, zapelniał przedko oznaczone kadry 16 000, przy czym stanowiska oficerów objęli wychowawcy polskich strzeleckich szkół wojskowych. Liczba ochotników o wyższym, częściowo uniwersyteckim wykształceniu, dochodziła do 70%, co mogło dostarczyć dalszych kadr do szarż oficerskich. Ordre de bataille założone w allegatach wykazuje w tym czasie 3 pułki piechoty, 3 szwadrony kawalerii oraz 4 baterie artylerii. Utrzymaniem ochotników, a w znacznej części i wykwiwowaniem, zajęły się Departament Skarbowy i Wojskowy NKN ze składek społeczeństwa dochodzących do sum milionowych.

Wysiłek ten narodu polskiego nie wpłynął jednak na zmianę stanowiska sfer wojskowych i rządowych państw centralnych. Jako uzbrojenie dostar-

Świadeictwo historii i... zaniedbania

Michał Domański



Umierali, umierają, umierać będą
Jak żyć będą i żyją, i żyli.
Długa rosła i ścielą się gręda
Groby tych, co się pracą strudził.
(Leopold Staff)

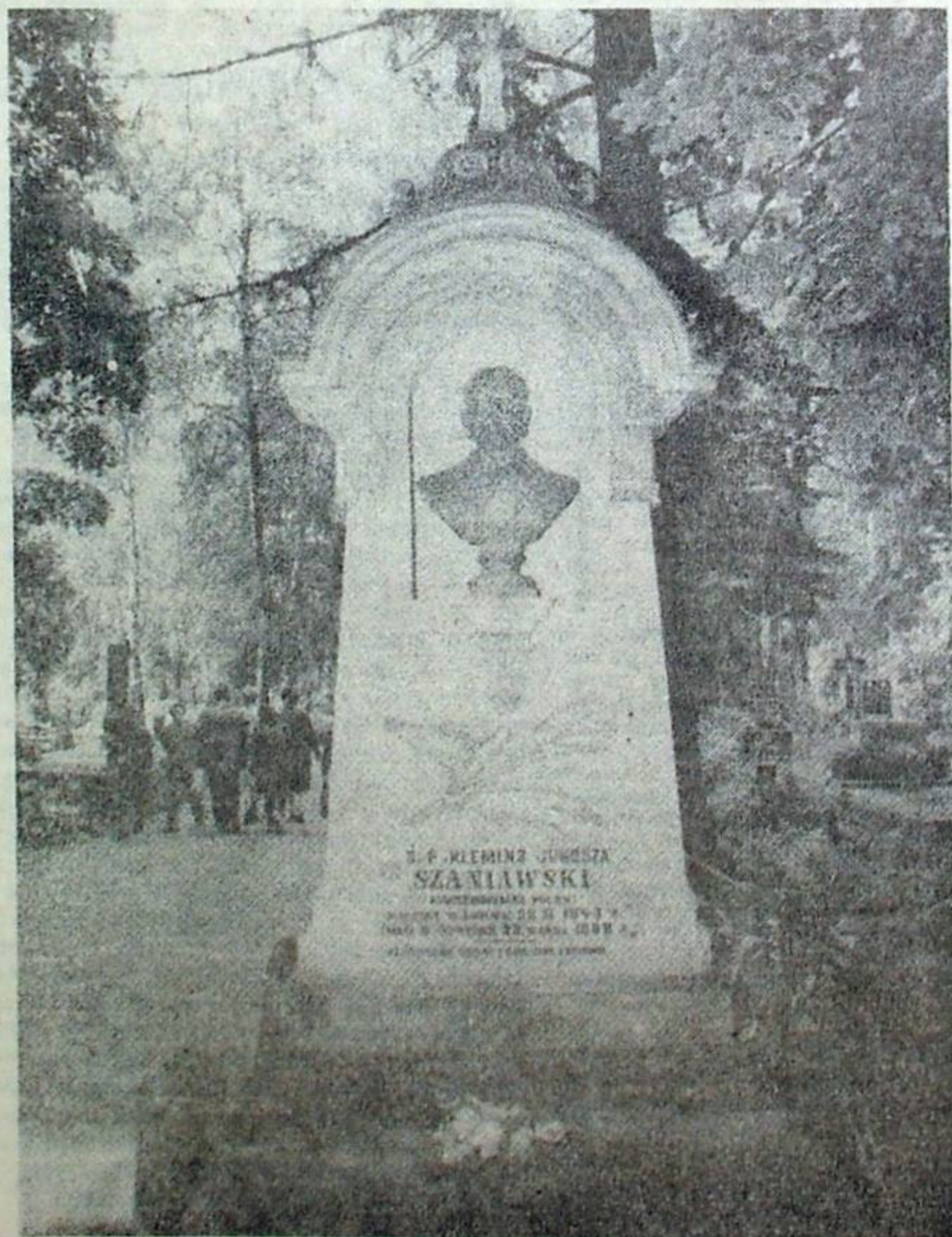
STNIEJE wiele słynnych cmentarzy i nieobojętnych nam z tego względu, iż kryją popioły wielkich Polaków. Dość wymienić paryskie: Pere Lachaise i Montmorency, cmentarz Lyczakowski we Lwowie, wileński na Rossie, Rakowicki w Krakowie czy Powązkowski w Warszawie, nie mówiąc już o licznych miejscach spoczynku żołnierzy polskich, uczestników drugiej wojny światowej.

Do wartościowych pod względem historycznym, choć mniej znanych należy stary cmentarz przy ulicy Lipowej w Lublinie, założony na gruntach pobrygidzkowskich w 1795 roku. Dziś ten najstarszy cmentarz lubelski zajmuje razem z wojskowym, prawosławnym i ewangelickim obszar większy aniżeli obszerny Park Miejski przy Alejach Racławickich. Ale nim osiągnął — wraz z przylegającymi doń terenami pochówu innowierców i cmentarzem wojskowym — obecny kształt regularnego omal prostokąta, był kilkakrotnie powiększany. Nie zaszkodzi

wiedzieć, że ulica Lipowa, przy której cmentarz rzymskokatolicki został utworzony, stanowiąca dziś ważny trakt komunikacyjny miasta, też ma swoją historię, albowiem zwana się naprzód ulicą Grobowa, następnie Pod Lipkami (z uwagi na wysadzenie jej lipami), wreszcie Cmentarna, a dopiero od pierwszej wojny światowej nosi nazwę ulicy Lipowej.

Na lubelskim cmentarzu można obejrzeć nagrobki architektonizowane, wykorzystujące formy i detale zapożyczone z różnych stylów budownictwa sakralnego i świeckiego, to znów nagrobki rzeźbiarskie: anioły, madonny, żalobnice, figurki dzieci, popiersia i medalliony portretowe. Obok nich znajduje się wiele nagrobków w postaci złamanych w połowie kolumn, przyciętych pni drzew symbolizujących koniec życia, a także mnóstwo stereotypowych pomników geometrycznych z kamienia, lastrico, terazzo, a nawet żeliwa.

W najstarszej części cmentarza (od strony ulicy Lipowej) zachowało się wiele empirowych nagrobków z pierwszej połowy XIX wieku, poświęconych osobom zasłużonym dla miasta. Do nich należy zwieńczony urną nagrobek Leona Urnowskiego (zm. 1814), porucznika inżynierii wojskowej i rysowni-



Fot. Waldemar Stępień

Czy tylko paranoja?

„Europa zawsze była wojowniczym kontynentem” — twierdzi Amerykanin, Samuel T. Cohen. Dlatego uważa, że trzecia wojna światowa odbędzie się właśnie w Europie — przy użyciu broni jądrowej. Fragmenty wywiadu przeprowadzonego z wynalazcą bomby neutronowej przez Franka Wieringa, dziennikarza holenderskiej telewizji VPRO, zamieszcza zachodniemiecki DER SPIEGEL (nr 38/1981). Tytuł pochodzi od redakcji „Kamery” i powinien wystarczyć za komentarz.

DZIENNIKARZ: — Kiedy wynalazł pan tę bombę?

COHEN: — Stało się to w lecie 1958 roku. Komisja ministerstwa obrony poleciła mi zbadanie możliwości wyprodukowania broni jądrowej przeznaczonej do użycia na polu walki. Udałem się więc do jednego z laboratoriów i tam dokonałem pewnego odkrycia, które legło u podstaw powstania bomby neutronowej.

DZIENNIKARZ: — Co to było za odkrycie?

COHEN: — Było ono oparte na tym, co określa się mianem fuzji jądrowej. Powstaje ona w formie energii z mniej więcej tego samego źródła co słońce tam w górze. Jest to coś, co nazywamy czystą bronią jądrową. Oto moja artystyczna wizja sylwetki miasta (na kartce papieru kilkoma pociągnięciami ołówka rysuje szereg domów): Wysoko w powietrzu, 600 do 900 metrów ponad miastem, eksploduje moja bomba neutronowa.

DZIENNIKARZ: — Czy chętnie projektuje pan broń?

COHEN: — Szczerze mówiąc, tak. Traktuję to jak wyzwanie. Jest to bardzo fascynujące zajęcie.

DZIENNIKARZ: — Co pan najbardziej kocha na świecie?

COHEN: — Istotę, która, mam nadzieję, niedługo mnie powita: mojego psa. Ale proszę, niech pan nie mówi tego mojej żonie i dzieciom.

DZIENNIKARZ: — Co sądzi o bombie N pańska żona?

COHEN: — Moja żona absolutnie się tą bombą nie zajmuje. Gra w tenisa i zajmuje się domem i w ogóle nie interesuje się tego rodzaju okropieństwami. W tradycyjnej sytuacji wojennej, np. w czasie walki o jakieś miasto, napromieniamy armię nieprzyjacielską. Jednakże ciśnienie atmosferyczne, które podczas tej eksplozji powstaje wysoko w powietrzu, nie dociera do powierzchni ziemi, ponieważ jest ograniczone. Dzięki temu niszczące działanie wysokiej temperatury i ciśnienia również nie dociera do powierzchni ziemi. Dlatego bombę neutronową określa się jako bombę, która zabija ludzi, ale oszczędza dobra materialne. Kiedy mnie pytają, czy nie jest niemoralne zabijać ludzi, ale oszczędzać ich majątek, odpowiadam zawsze: ci ludzie to nieprzyjacielscy żołnierze, zaś ochranianie cywilnego majątku jest słuszne. Czy uapije się pan coli?

Ludność cywilna może zrobić dwie rzeczy: opuścić miasto przed rozpoczęciem bitwy (jak dzieje się w większości przypadków, jeśli tylko jest na to

dość czasu), lub szukać schronienia pod ziemią. Podziemne schrony są bardzo proste, a także tanie. Na powierzchni ziemi szaleje bitwa, a mieszkańcy siedzą bezpiecznie w schronie. Kiedy NATO podejmie decyzję o rozmieszczeniu broni neutronowej w Europie, wówczas ludność cywilna z łatwością i tanim kosztem zbuduje sobie podziemne schrony. Koszty kształtują się w granicach 100 dolarów na osobę. To wszystko. Tak niski koszt jest możliwy, ponieważ chodzi o zabezpieczenie wyłącznie przed promieniowaniem. Zabezpieczenie przed ciśnieniem atmosferycznym nie jest potrzebne. Niemniej potrzebne będą duże ilości stali i betonu.

DZIENNIKARZ: — Mówi pan wciąż o Europie, o wojnie w Europie. Mieszkam w Europie. W moich uszach pańska opowieść nie brzmi zbyt przyjemnie.



Rys. W. Fuglewicz

COHEN: — To logiczne. Mogę na to tylko powiedzieć, że ma pan pecha być sąsiadem biokru radzieckiego. Będzie pan zagrożony. Nas oddziela od nich ocean. [...]

DZIENNIKARZ: — Co stanie się z żołnierzami, nad którymi wybuchnie bomba?

COHEN: — Odmiosą ciężkie obrażenia w wyniku intensywnego działania neutronów. Większość żołnierzy w obrębie obszaru napromieniania zostanie w ciągu kilku minut wyeliminowana z walki, sparaliżowana. Promieniowanie atakuje centralny system nerwowy. Nie będą już w stanie walczyć. Na większy dystans promieniowanie oddziałuje

na przewód pokarmowy. Objawy to: nudności, wymioty, biegunka itd.

DZIENNIKARZ: — Czy ludzie ci umrą?

COHEN: — Tak, większość żołnierzy tych dwóch pierwszych kategorii umrze po jakimś czasie, tym szybciej, im bliżej centrum eksplozji się znajdowali. Ci, którzy znajdują się najbliżej, doznają szoku i umierają bardzo szybko.

DZIENNIKARZ: — Czy nie jest to straszna śmierć?

COHEN: — Umieranie jest zawsze straszne. Jeśli porównać fizjologiczne skutki bomby neutronowej z tymi, jakie powstają w wyniku użycia broni konwencjonalnej, wówczas prawdopodobnie dojdzie pan do wniosku, że — gdyby przyszło panu wybierać — zdecydowałby się pan na bombę neutronową.

Nowoczesna wojna jest wojną zmechanizowaną. Naciska się tylko guzik. Dla bohaterów nie ma już miejsca. Następna wojna nie będzie powtórzeniem okopów i szturmów z Pierwszej Wojny Światowej, nie będzie również powtórzeniem Drugiej Wojny. W czasie obu tych wojen można było sobie powiedzieć jestem ciężko ranny, a więc pewnie umrę, ale przynajmniej zabiorę ze sobą sporo nieprzyjaciół. Podczas trzeciej wojny światowej takich sytuacji już prawie nie będzie.

DZIENNIKARZ: — Jak reagują pańskie dzieci na pański wynalazek?

COHEN: — Zdumiewająco obojętnie. (Do córki): Co sądzisz o tym, że twój tatuś wynalazł bombę?

CORKA: — Jest mi to zupełnie obojętne. [...]

DZIENNIKARZ: — Pański syn służy w marynarce. Co by pan powiedział, gdyby padł on ofiarą pańskiej bomby?

COHEN: — O, nie, nie, nie, bomba zostanie użyta na lądzie. Jeśli mój syn kiedykolwiek znajdzie się w strefie wojennej, tym, co mu będzie groziło, nie będzie bomba neutronowa. Raczej torpedy i zdalnie sterowane rakiety.

DZIENNIKARZ: — Czy wolałby pan, aby był zagrożony przez torpedę, czy przez bombę neutronową?

COHEN: — Właściwie wolałbym torpedę. Mówiłem przed chwilą, jak działa bomba neutronowa. Torpedy działają inaczej, niszczą materiał, nie życie. Torpeda zatapia okręt, wówczas mój syn może uratować się za pomocą tratwy, czy szalupy ratunkowej, i ocalić życie. Z dwójga złego wolałbym więc, by jego okręt został trafiony przez torpedę.

DZIENNIKARZ: — Czy w ciągu ostatnich 20 lat nigdy nie przyszła panu do głowy myśl: o Boże, co ja wynalazłem?

COHEN: — Nie, nigdy. Jest to na pewno najbardziej selektywna broń, jaką kiedykolwiek wynaleziono. Brzmi to zarozumiale, ale tak się składa, że jest to prawda. Czegóż takiego nigdy dotąd nie było. [...]

DZIENNIKARZ: — Czy uważa się pan za naukowca?

COHEN: — Już nie. Niezupełnie. Słyszał pan naturalnie o psychoanalizie i o podświadomości. A więc pierwszym spontanicznym skojarzeniem jakie mi się nasunęło, było, że uważam się za humanistę. Czy to nie dziwne? [...]

DZIENNIKARZ: — Jak można jednak być istotą twórczą, jeśli pracuje się nad czymś, co działa niszcząco?

COHEN: — O, przepraszam! Bomba neutronowa nie jest bronią niszcząca...

DZIENNIKARZ: — Ale zabija ludzi.

COHEN: — Nieprzyjacielskich żołnierzy. Niestety, jest to nieodłączny element wojny. Tak było zawsze.

Piękny gest

„Wyjątkowo piękny gestem” nazwała dyrekcja Państwowej Filharmonii im. H. Wieniawskiego w Lublinie ofiarowanie tej zasłużonej placówce brązowego popiersia Fryderyka Chopina przez literatkę, członkinię kolegium „Kamery”, panią Marię Bechczie-Rudnicką. Autorem statuetki jest współczesny wielkiemu kompozytorowi rzeźbiarz Mezzuro. Pochodzi ona ze zbiorów muzycznych zmarłego męża ofiarodawczyni, muzykologa Edwarda Wrockiego.

Dyrekcja Filharmonii, dziękując serdecznie za ten bezcenny dar, uważa, że Pani Maria Bechczie-Rudnicka w ten sposób dała początek gromadzeniu zbiorów związanych z upowszechnieniem muzyki i działalności artystycznej, że znajdzie naśladowców. Powstająca ekspozycja muzealna udostępniona zostanie w budującym się gmachu tej placówki.

Fot. Jan Trembecki



ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Alfred Musset został swego czasu wyzwany na pojedynek. W dniu pojedynku rozpadł się ulewny deszcz. Musset, przybywszy na umówione miejsce, zaczął z całym namaszczeniem czyścić swoje obuwie. W trakcie tego z uśmiechem rzekł:

— Dziwne, że czasami droga do honoru może być tak brudna!

Pewna dama z wyższego towarzystwa pragnęła mieć autograf Rudyarda Kiplinga i posłała mu sześć szylingów z prośbą o „jedno jedyne słówko”. Otrzymała je, Kipling napisał: „Dziękuję”.

Na biurku d'Annunzia zwykle znajdował się w czasie pracy pisarza małe akwarium z rybkami słodkowodnymi.

— Fakt ten — zauważył pisarz — nie może być powodem do interwencji towarzystwa opieki nad zwierzętami, gdyż ryby nie umieją... czytać.

Wybrał:
Ryszard Dunin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczie-Rudnicka (Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Markowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocjan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Oybek, korektor — Marianna Obłora.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 250-30

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4, PL ISSN 0137-7100 Nr indeksu: 4251 Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowska 1A

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 sekretarz redakcji 211-93 dział publicystyki i literacki 775-38

Korespondencja swytkie prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — 200 adresem redakcji.